

85

KAPITAN ANDRZEJ KULWIEĆ
WYKŁADÓWCA HISTORJI
SZKOŁY PODCHORAŻYCH DLA PODOFICERÓW W BYDGOSZCZY

**POLSKA
PRZED STU LATY**

BYDGOSZCZ 1930 R.

300

Albion x

Pydgoria Libata pabelionizya
Karya Pauriflora.

Volgansky 30.

Wielmożnemu Panu Dyrektorowi
Dr. Stefanowi Pugglowi

jako przypomnienie ufolnych rozmów
o Duchu, Idei, Kulturze Narodowej

Bydgoszcz
29. XI. 1930

ofiaruje
Andrzej Kulwiec

Kapitan Andrzej Kulwiec.

Polska przed stu laty.

(Próba charakterystyki ducha epoki, ludzi i zdarzeń).

Z pamięcią o wielkich duchach Podchorążych przed-
wieku. Wszystkim wychowankom. Dawnej Szkoły Oficerskiej.
I obecnej Szkoły Podchorążych w Bydgoszczy. Poświęcam

Andrzej Kulwiec, kapitan.

„Zapamiętajcie rok trzydziesty
Dzień 29 Listopada...“

P. Wysocki do podchorążych w „Nocy
Listopadowej“ Wyspiańskiego.

W okresie, gdy cała Polska stoi pod znakiem stuletniej rocznicy rewolucji listopadowej i wypadków z nią związanych, siłą rzeczy pamięć, umysł, uczucie — biegnie wstecz o wiek cały, ku czasom dziadów i pradziadów, świadków nieraz bardzo czynnych owego słynnego zatargu narodu polskiego jako całości z największym zaborcą — Rosją. Zatarg ten, jako wynik olbrzymich wiekowych przeciwieństw dziejowych, z rewolucji przeciw „własnemu królowi“, przerażający się w powstanie narodowe, a potem w regularną wojnę polsko-rosyjską 1831 roku — ma jeden punkt najgłówniejszy — Noc Listopadową. Ona to łączy w sobie wszystkie duchowe, kulturalne, polityczne i narodowe przyczyny i powody zatargu. Ona jest ogniskiem niecałemu po całej ziemi dawnego państwa polsko-litewskiego. Ona stworzyła późniejsze następstwa, niewolę narodu z jednej, ale też i pogrzipiające wspomnienia dni krwi i chwały z drugiej strony. Ona też od wieku jest przedmiotem głównym zainteresowania, zaciekawienia, badania i rozważania wśród swoich i obcych. Ona jest potężnym słupem granicznym w dziejach Polski porozbiorowej. Ją to też każe pamiętać i czcić szczególnie wielki bard i wieszcz narodowy, Stanisław Wyspiański.

Nauka, poezja i legenda ujęły też ze specjalną pieczęcią, czcią i uwagą datę 29 listopada 1830 r. Skupia się to zainteresowanie zaś wśród wielu działaczy



Kulwiec

i uczestników epokowej chwili na grupie tych, co „zaczęli“ — na podchorążych, i wodzu ich, podporuczniku Piotrze Wysockim.

I oto poprzez lat sto, z perspektywy wieku, owa skromna szkoła podchorążych piechoty Królestwa Polskiego Kongresowego urasta do rozmiarów olbrzymich. W tradycji czterech pokoleń narodu mało dawniej znane i rozumiane słowo „podchorąży“ urasta do wyżyn symbolu największych ideałów ojczystych — poświęcenia w ofiarnej bezinteresowności, rycerskiej czujności, żołnierskiej wierności dla Sprawy Polskiej.

Stała się rzecz dziwna a wspaniała: szkoła wojskowa o ograniczonym programie, mająca urabiać młodzież na tępe, posłuszne, ślepe narzędzie najazdu — staje się źródłem ożywczem dla całego narodu, koncentruje w sobie, zresztą zupełnie nieświadomie, całą romantyczną wiarę w potrzebę orężnego czynu. I przy całym, jak dziś wiemy, braku należycie pogłębionej organizacji przygotowawczej, przy ogromie dorywczowości, nieporadności, błędów, nieopatrzności, zawadactwa, a jednocześnie uporczywego zdecydowania, śmiałości i bezgranicznej pewności w poparcie całego narodu — młodzi ci bohaterowie ów czyn spełnili i za sobą społeczeństwo porwali, stwarzając fakt dokonany.

Zwyciężył najszlachetniejszy romantyzm czynu!

Stanął on wyżej od niecnego zaprzaństwa jednych, tchórzostwa drugich, gnuśności tych, karierowiczostwa tamtych!

Tym czynem podchorążych naród stwierdzał, że chwyta znów stary sztandar walki — sztandar konfederatów barskich, powstańców Kościuszki, legionistów Dąbrowskiego, żołnierzy świętej epoki Księstwa Warszawskiego.

I cóż z tego, że na samym początku akcji ciż sami podchorążowie popełnili dużo błędów? Cóż z tego, że w tak zawsze rzadkiej, duchowej karności obywatelskiej, oddali oni kierownictwo w ręce nieodpowiednie? Cóż z tego, że sami, zmysłu samodzielnego i twórczego nie mając, wsiąkli niewidocznie w szeregi, nie wybijając się potem z reguły wcale? Cóż nawet z tego, że spaczony kształt i istota powstania nie wydobyły z narodu maksimum siły do walki? Cóż wreszcie z tego, że sama wojna 1831 r. została przegrana, a „powstanie skończyło samobójstwem?“ — Nic to jest w porównaniu z duchowo olbrzymim zjawiskiem twórczego buntu przeciw przemocy; w porównaniu z rozbudzonego uczuciem patriotyzmu i poświęcenia; w porównaniu z rzuceniem światu, który już o Polsce, jej sprawie i jej dziejowym powołaniu zapomniał, tych dwóch sztandarowych haseł: „Jeszcze Polska nie zginęła“ i „Za naszą i waszą wolność“; w porównaniu z okazanym silnym pragnieniem należenia do Zachodu Europy, wbrew intencjom moskiewskiego najeźdźcy, pragnącego uwiecznić swoje panowanie nad Wisłą. Cóż znaczy program obrony pseudo-konstytucji Królestwa Polskiego Kongresowego wobec wielkiej idei niepodległości i całości Polski?

Wszak wiadomo, że system rosyjski pozyskał dla Rosji pewną ilość Polaków wśród wojska i społeczeństwa cywilnego. Dużo było takich, co się z losem już pogodzili, korzyści już tylko osobistej szukając. Wszak programem

najazdu było, by w formalnej karności „wytresowane“ szeregi polskie móc użyć w razie potrzeby przeciw polskiemu społeczeństwu. Wszak tu i owdzie chwiały się charaktery, mąciły się jasne drogi, zatracala się idea wolności, nie nie mająca wspólnego z jakąkolwiek bądź ugodą z najazdem.

Przed Polską stawały dwie drogi: albo iść w jarzmie zaborców, w służbie „starej Europy“ zorganizowanej w „Świętem Przymierzu“ — albo próbować odzyskać wolność za cenę nawet największych ofiar. Noc Listopadowa o wyborze drogi zadecydowała. Lecz bohaterska próba nie udała się.

A mimo to, a może właśnie dlatego „Gloria Victis“.

Wielkiej Tradycji polskiej, poprzez wiek niewoli, nigdy nie mylący się instynkt narodu wkłada w usta serdecznego poety pieśniarza słowa — wizję:

„Tam — obacz — Podchorążych maszeruje szkoła...
Wysocki z szabłą nagą u kolumny czoła,
...Jest wodzem Polski. Polskę prowadzi do bitwy...“

Tak jest. W tej Nocy Listopadowej skromny instruktor, podporucznik Piotr Wysocki, który nic wielkiego przedtem, ani potem nie stworzył — był wodzem Polski.

A Polska była w tym momencie — w szeregach Podchorążych...

I.

W pogodny dzień wrześniowy 1814 roku wjeżdżał do Wiednia, otoczony arcyksiężętami, świtą, rodziną i rozriadowanym tłumem cesarz rosyjski, Aleksander I Pawłowicz, główny pogromca Napoleona, najwybitniejszy rzecznik koalicji i najbardziej decydujący czynnik w „starej Europie“, która patrzyła mu w oczy i nazywała Agamemnonem, „królem królów“. Przybywał na ów słynny kongres, najświetniejsze zgromadzenie monarchów i władców, jakie kiedykolwiek się odbyło, by wraz z innymi „uporządkować“ Europę i... podzielić się spadkiem po Napoleonie.

Plany prac sięgały daleko. Miano wogóle cofnąć Europę o lat 25, zniszczyć olbrzymie dzieło nienawistnego Korsykanina, załatwić się z 30 milionami byłych podwładnych wielkiego Cesarza Francuzów, zadecydować wreszcie o tych, co mu jedynie do ostatka wiernymi detrwali w niedoli i nieszczęściu, ale z honorem — to jest o Polakach.

A witał w swej stolicy dostojnego gościa potomek tego, co ongiś dziękował w tych samych murach Sobieskiemu za uwolnienie swego Wiednia, państwa i chrześcijańskiego Zachodu od tureckiej nawały...

Kongres więc mógł się rozpocząć...

450 dyplomatów, 143 pełnomocników swych władców miało radzić, kręcić, szachrować, targować się zawzięcie. Trwać to miało szereg miesięcy, jakby uczestnicy przeczuwali, że wykuwają losy narodów i granice państw na lat sto... Aleksander przybywał pogodny i pewny siebie; rzucił już most zgody z Polakami, którzy mu zaufali, uwierzyli w jego plany, które nawet

czasem lojalnie i z entuzjazmem uznali za swoje, by tem straszniej i boleśniej się rozczarować. A piękne i znaczące słowa padały z ust tego mocarza. Wszak najteższe umysły w narodzie szły na ich lep. „Teraz mnie tylko zajmuje Polska“ — mówił cesarz w przejeździe przez Polskę w Puławach, gdzie go rodzina Czartoryskich wspianale gościła — „jadę na kongres, by dla niej pracować. Macie trzech wrogów: Austrię, Prusy i Rosję — a jednego przyjaciela — mnie. Szczęście Polski będzie moją nagrodą“. Takie słowa słyszano i jednakowo je komentowano: oto jedyny władca, co teraz docenia znaczenie Polski, trzeba się przy nim skupić...

A Aleksander rzeczywiście myślał o rozwiązaniu sprawy polskiej, ale tylko i wyłącznie po linii polityki rosyjskiej. Miał w roku 1814 w rękach swych około $\frac{9}{10}$ ziem dawnej Polski. Chodziło mu o to, by utrzymać ich jak najwięcej na stałe, a wypełnić tem samem warunki legendarnego testamentu Piotra Wielkiego i Katarzyny, którzy zasadniczo traktowali niechętnie projekty podziału Polski — bo mieli plan daleko prostszy: przyłączyć całą Polskę do Rosji. To też właśnie interesy wielkiej Rosji pchały cara nad Wisłę i Wartę; posuwało to Rosję ku środkowi Europy; politycznie stawała się ona państwem środkowo-europejskiem; strategicznie szachowała Austrię i Prusy z nad Wisły w kierunku Wiednia i Berlina... Dlatego zwykle zmienny i chwiejny Aleksander dziwnie wytrwale i uporczywie bronił na Kongresie sprawy polskiej; sekundował mu dzielnie w najlepszej swej wierze księżę Adam Czartoryski, marzący o zjednoczonej Polsce pod berłem Aleksandra i o jego mądrej i uczciwej słowiańskiej polityce...

A walka o Polskę w Wiedniu była zacięta. Sprawa polska i jej polityczno-państwowy wykładnik — Księstwo Warszawskie — było kością niezgody. Nikt Polski nie brał w obronę. Austrija i Prusy chciwie patrzyły na ziemie Księstwa, powstałego przeciw z „ich“ ziem... To też ciężko było o decyzję. Uprzymierniano też sobie pracę owemi słynnymi zabawami, balami, maskaradami i kuligami, organizowanemi z wyszukaną gościnnością i hojnością przez dwór austriacki, który wyczerpany ciągłemi wojnami, wydał na te przyjęcia do 30 milionów guldenów. Wszak nawet były momenty, że groziła wojna z racji... Polski. Zażegnało ją wylądowanie na brzegach południowej Francji wracającego z wyspy Elby Napoleona, który w 1100 wiernych żołnierzy, a wśród nich 100 zgórą polskich szwoleżerów, tworzących ów nieśmiertelny szwadron Elby, szedł prawie bez wystrzału odzyskiwać stracone cesarstwo i tron. Szedł uwielbiany przez jednych, nienawidzony przez drugich, zamącił znów „spokój Europy“, doszedł w triumfie do Paryża i znów był cesarzem Francuzów. Ten jedyny w dziejach świata, baśniowy prawie wypadek pogodził w Wiedniu zwaśnionych polityków. Armje koalicji miały pod Waterloo powalić już na zawsze „boga wojny“, a w Wiedniu, jakby na urągowisko Polakom, w dniu dla nich pamiętnym 3 maja 1815 roku podpisano traktaty w sprawie polskiej. Nastąpił nowy rozbiór Polski, szósty z kolei, licząc traktat tylżycki 1807 r. za czwarty, a schönbrunski 1809 r. za piąty. Było to ostateczne międzynarodowe potwierdzenie rozbioru Polski przez osiem państw: Anglję, Austrię, Francję, Hiszpanję, Portu-

galję, Prusy, Rosję i Szwecję. Był to wyraz woli Europy i postanowienie prawa międzynarodowego, które miało zaciążyć nad narodem polskim na przeciąg lat stu; t. zw. „Galicja“ została przy dawnym „panu“; kolebka państwowości polskiej, ziemie poznańskie i pomorskie znowu wpadały w nienawistne jarzmo pruskie; $\frac{4}{5}$ Księstwa Warszawskiego miały stanowić owo Królestwo Polskie pod berłem każdorazowego cara Rosji, jako konstytucyjnego króla polskiego.

I gdy Prusy miały spokojnie, ale konsekwentnie i sprytnie germanizować ziemie zachodnie, gdy to samo, ale głupio i bezplanowo miała robić Austria z „Galicją“ — dla Królestwa Kongresowego miała nastać era pogodniejsza: życie konstytucyjne, oparte, jak się zdawało, na poszanowaniu prawa i nietykalności osobistej.

Karta konstytucyjna, osoba króla, senat, sejm, armja narodowa, administracja i język urzędowy polski — wszystko to miało gwarantować rozwój narodowy Polakom, a słowa Aleksandra, rzucane publicznie, budziły jak najlepsze nadzieje: „Starajcie się usposobić dla siebie przychylnie Konstantego i Rosjan, aby ułatwić połączenie z Litwą i Rusią, czego szczerze pragnę“ głosił car. Il faut aux Russes éscamoter la Pologne“, padało z ust przyszłego króla Polski. Niedotrzymanie żadnej z obietnic, żadnego niby z gwarantowanych praw, wytworzyć miało uczucie zawodu, rozgoryczenia, oburzenia i rozpacz, czego rezultatem być miała noc listopadowa.

II.

Zaczęła więc swą egzystencję owa „kongresówka“, początkowo jednak w warunkach i nastrojach zaufania ogółu w możliwość współzycia małego Królestwa Konstytucyjnego z ogromną absolutystyczną Rosją. Łudzono się więc w Polsce, natomiast wielu Rosjan, zazdroszcząc może Polakom swobód, przewidywało, że związek ten, tak nienaturalny, tak sztuczny, sklecony przez jednostkę, władcę absolutnego, ostać się długo nie może. I nie ostał się, mimo początkowo dobrej woli cara, mimo wysiłków księcia Adama, mimo dobrej woli narodu polskiego, wszystko, zdawało się, poświęcającego dla świętego spokoju.

Te dwa społeczeństwa — Rosja i Polska — była to para zbyt niedobrana. Wszystko je dzieliło, a nic nie łączyło.

Wszak Polska w r. 1815 — to kraj tętniący życiem, mający za sobą dużą drogę do postępu: i konfederację barską, wielką reformę szkolną Konarskiego, i nieśmiertelną Konstytucję 3 maja, i w jej obronie pozyskany, połyskujący na niejednej piersi rycerskiej, cudny krzyż Virtuti Militari, i Insurekcję Kościuszkowską z manifestem połanieckim, i zahartowane jak stal legjony Dąbrowskiego, który dopóty trwał na posterunku, aż przyszedł z bronią w rękę „z ziemi włoskiej do polskiej“. Polska — to tęsknota umęczonego narodu do własnej państwowości; to świadectwo tej zdrowej dążności, złożone przed całą Europą w owej słynnej pracy nad organizowaniem Księstwa Warszawskiego, kiedy to w ciągu lat kilku wiarą, nadzieją i miłością narodu, pracą i wysiłkiem Józefa Poniatowskiego i starych lwów legjonowych Dąbrowskiego — staje

1812 r. zgórą 100 000 wojska, cyfra dotychczas nieznana w historii Polski — kiedy to obok wysiłku militarnego idzie praca codzienna, a kraj wyniszczony wojnami, dzięki wytrwałości i planowej pracy Stanisława Kostki Potockiego, zakwita siecią szkół elementarnych, otrzymawszy je w spadku po Prusach w 1807 r. — 147, a osiągnąwszy w 1814 r. niebywałą cyfrę 1 110. Toż to są fakty, stwierdzające ponad wszelką wątpliwość, że naród chciał i umiał żyć, chciał i umiał się rozwijać, chciał i umiał tych dążeń bronić.

Aleksander, mając tak wielkie plany na Polskę, wszystko robił, by ją sobie zjednać. Kokietował wojsko, magnatów, kobiety. Nie mógł więc na polu politycznym nie dać owej konstytucji tym, którzy ją przecież mieli w Księstwie Warszawskim. Ale jako fantasta, był z gruntu samowładcą. Nie miał wcale poczucia konstytucjonalizmu. Skąd mógł je mieć? Przecież nie z tradycji, ani z otoczenia! To też w przystępie złego humoru wyrażał się „dobrodziejstw konstytucyjnych nie uważa za niecofnione“. Ustawa obowiązuje naród a nie jego. Uchylił się też z tej racji od osobnej koronacji i przysięgi — zostawił to następcom. Zachował więc wolną rękę...

To i różne inne objawy zaczęły budzić podejrzenie. Był Królestwa zaczął się jakby pod złym znakiem. W czasie uroczystego ogłoszenia Konstytucji w dniu 24 grudnia 1815 r. solenne „Te Deum“ zaintonował w prastarej katedrze św. Jana ks. biskup lubelski, Wojciech Skarszewski. Zły to był omen. Skarszewski, niepopularny ogólnie, był przez władze moskiewskie dobrze widziany; z punktu widzenia polskiego był to zaprzaniec i zdrajca. Wróg Konstytucji 3 Maja stanął gorliwie przy Targowicy, był nawet jej „podkanclerzym“. Trafem uniknął szubienicy w Warszawie za insurekcji z rąk wzburzonego ludu. Taką postać miano nietakt wysunąć na pierwszy plan. Potem zrobiono go prymasem Królestwa Polskiego, którą to godność w Watykanie kreowano na skutek zręcznych zabiegów cara; Skarszewski wiernie płacił za zaufanie: on później obalił do spółki z całą duchową reakcją najkulturalniejszego Polaka tej epoki i najgorętszego patriotę, Stanisława Kostkę Potockiego, ministra oświaty... Zawód był ogólny, gdy zobaczono po raz pierwszy nowy herb Królestwa: maleńkiego białego orzelka na piersiach dużego czarnego orła rosyjskiego. Mignęła przed społeczeństwem zła wizja owego „Związku trzech czarnych orłów“ tak zgodnego i trwałego, gdy chodziło o walkę z Polską... Pominięcie przy nominacji na namiestnika ks. Adama Czartoryskiego już wskazywało na ciągłość polityki rosyjskiej. Ogiś babka Katarzyna nie dopuściła na tron polski ojca ks. Adama, generała ziem podolskich, — teraz wnuk Aleksander usuwał syna od wpływów; przyczyna jedna i ta sama. Obaj zbyt niebezpieczni, zbyt mądrzy i ruchliwi, zbyt gorliwie oddani krajowi. Zdradził więc Aleksander, swego przyjaciela z lat dziecińczych, ks. Adama Czartoryskiego. Snuł z nim niegdyś w Petersburgu plany liberalne uszczęśliwienia Polski, Rosji, ludzkości całej według zasad filozofów XVIII wieku. Zaczęto ks. Adama usuwać w cień, nie był bowiem wygodnym. Ku ogólnemu zdumieniu namiestnikiem króla został gen. Józef Zajączek — figura podrzędna, polityk żaden, tegi żołnierz-wykonawca, ale dowódca marny. Ogiś adjutant Ksawerego Branickiego, znany za Kościuszki

zwolennik radykalnych metod rewolucyjnych, przewany „polskim jakobinem“ — wróg Józefa Poniatowskiego, niechętny Kościuszcze, zawsze krążył koło silniejszego. Za Księstwa trzymał się Napoleona, interesy kraju na bok odsuwając. Zazdrosny ten marny karierowicz zasłynął ze wstrętnych słów w 1807 r.: „Cóż mi ta szelma ojczyzna dała? — wszystko mam od Napoleona“. I oto dawny niefortunny dowódca z 1794 i 1809 r., obecnie wierny sługa cara-króla — zostawał wice-królem. Zasłynąć też miał zaraz brakiem charakteru. I znów słyszano z ust tego służalca zdanie: „Dzisiejsze miejsce winienem cesarzowi Aleksandrowi... Nie Konstytucji, lecz jego słuchać będę i co mi brat jego rozkaże — czynić będę...“ Znalazł się i pozostał w Warszawie „pan senator Nowosilcow“, delegowany pełnomocnik i pośrednik carski, przysły kat młodzieży wileńskiej. Już urzędował groźny Wielki Książę Konstanty, naczelny wódz armii polskiej, zrażając sobie wszystkich prawych wojskowych, od Chłopickiego i Wielhorskiego — do młodych zapaleńców swą brutalnością, czężą formalistyką, poniewieraniem tradycji...

Zaiste objawy te mogły zacząć niepokoić więcej czujnych obywateli nowego Królestwa. Przedewszystkiem zaś nie przyłączył ów „król“ Litwy i Rusi, wbrew niejednokrotnym obietnicom i zapewnieniom. Czasem mówił o tem coraz rzadziej, wreszcie zamilkł. Zamilkł car wtenczas, gdy właśnie z Kresów Wschodnich, z Wilna i Krzemieńca, z owych Aten litewskich i wołyńskich szedł wielki zew na cały naród „czuj duch, wszystko dla sprawy ojczystej“, gdy hasła filareckie „ojczyzna, nauka, cnota“ unosiły młodzież

„w rajsłą dziedzinę ułudy,
kędy zapał tworzy cudy“,

gdy młody Mickiewicz pisał „Grażynę“, która stawiała kobiecie-Polce szczytny ideał poświęcenia dla sprawy narodowej... Przemówił car zaś znów później, ale jakżeż innym tonem. Gdy chodziło o ów proces młodzieży w Wilnie, o „zbrodnię stanu“ — wysłał car z nieograniczonymi pełnomocnictwami Nowosilcowa z poleceniem ukarania młodych Polaków za szerzenie „nierozsądnej narodowości polskiej“. Te słowa cara odsłoniły w całej nagości program już nie wskrzesiciela Królestwa Polskiego, ale zwykłego najeźdźcy. Tu już nie chodziło o oderwanie od Polski tych czy innych spornych ziem ruskich, nie o rozbiór Polski, czy o wojnę z nią; nawet nie chodziło o państwowość i tron polski — wszystko to już Polakom zabrano — teraz szło o zamach na duszę polską, na język ojczysty.

Żywotniejsza część narodu zrozumiała to, odczuła całą grozę chwili, skupiła się w sobie, przytuliła się „jako wąż wystygły“, weszła w podziemia spisków i jęła powtarzać sobie słowa „Ody do Młodości“ „Gwałt niech się gwałtem odciska“.

III.

Czynniki rządowe rosyjskie i służalcze polskie, obserwując wzrastające usposobienie reakcyjne Aleksandra, dawały folgę swym tendencjom despotycznym i samowoli bezkarnej. Gwałty szły za gwałtami. Konstytucja stała

się strzępem papieru. Nietykalność osób, mieszkań — przestała istnieć. Więzienia przepelniły się setkami nieraz niewinnych ludzi. Szpiedzy dobrze wynagradzani wcisnęli się wszędzie: do wojska, gdzie ich ochraniał nikczemny generał Różniecki, do uniwersytetu, do szkół — nawet do domów prywatnych... Na „policję sekretną“, polityczną, ubogi skarb polski płacił na ręce Nowosilcowa równie olbrzymią na ów czas sumę 180 000 zł.

W wojsku tyranja Wielkiego Księcia Konstantego doprowadziła do tego, iż na 1 500 oficerów około 200 podało się do dymisji, a szereg młodszych oficerów, zbeszczeszczonych na placu Saskim, życie sobie odebrało, strzelając do siebie w krzakach ogrodu saskiego; w ciągu pierwszych czterech lat istnienia Królestwa wiadomo o 49 samobójstwach oficerów; zasłużeni podoficerowie, starzy legioniści i napoleończycy, poniewierani w swej też wysoko pojmowanej godności wojskowo-obywatelskiej — skakali w nurty Wisły. Ręki nikt na tyrana nie podniósł. „Królobójstwo“ — było to pojęcie i obce i nieznanie narodowi polskiemu. Normalne życie stawało się coraz bardziej nieznośnem. Zorjentowano się wreszcie, ile racji miało w sobie powiedzenie jednego z cudzoziemców: „Los Królestwa Polskiego — to los naczynia glinianego, uwiązanego przy żelaznym dzbanie“.

Dzban żelazny był silny — to też gliniane naczynie pękało, aż pękło...

Lojalny początkowo, a złośliwie dowcipny Marcin Badeni mówił: „gdy nas chciano zjednać i pozyskać, to konstytucja była na stole, a bat pod stołem — teraz, gdy już nas mają w rękę — bat jest na stole, a konstytucja pod stołem“.

Sejm, złożony przeważnie ze sfer zachowawczych, z ludzi starszych i spokojnych, długo politykował, ludził się, zwlekał, aż i tam zawrzało. Powstała ostra, choć legalna opozycja, na czele mająca ludzi czystych jak łąza, marzycieli-liberałów, braci Wincentego i Bonawenturę Niemojowskich, wodzów t. zw. partji kaliskiej. Ci wnieśli ducha protestu przeciw nadużyciom.

Aleksander nie mógł zrozumieć, jak ktoś śmiał mu się sprzeciwiać, gotował ukaz o zniesieniu ustawy konstytucyjnej, aż go poseł angielski musiał wstrzymywać; zniósł jednym pociągnięciem pióra jawność obrad sejmowych; wziął się też na Niemojowskich; to też Wincentego aresztowano, choć posła, i internowano na wsi w jego majątku.

Z coraz więc większym niepokojem patrzyli w przyszłość wybitni patryjoci jak: Czartoryski, Niemcewicz, Lelewel, Mochnacki. Ten ostatni pisze: „Historja Polski Kongresowej jest historją wykroczeń rządu przeciw ustawie konstytucyjnej... Car obrał drogę stopniowego zwijania ustawy i zamieniania Królestwa w część integralną Moskwy“.

Gdy więc zawiodły obietnice przyłączenia Litwy i Rusi, gdzie życie polskie bujnie pulsowało, gdzie nad wyraz silnie wykuwano związek z rdzennie polskimi ziemiami; gdy nadzieje na normalny rozwój życia narodowego mały nad Wisłą z dniem każdym, gdy nikt nie był pewien dziś, czy się jutro nie znajdzie w ponurem więzieniu karmelitów na Lesznie, gdy szpieg nawet w kościele śledzić potrafił „wolnego obywatela“ Królestwa, gdy młodemu pokoleniu

starano się wybić z głowy i serca nie tylko starą tradycję polską, ale czasy najnowsze: legjony, bohaterską epopeję napoleońską i liberalne Księstwo Warszawskie; gdy nasłane szeregi cenzorów paczyły prawdę, fałszowały historję, niszczyły każdą myśl wolną — myśl ta narodowa, nigdy niczem niezastraszona, — zesłała w podziemia i trwała. Historja spisków patriotycznych owej doby daje nam potężny i wzruszający obraz łączności całego narodu bez względu na zabory. Niema żadnego poznańczyka, kongresowiaka, czy galicjanina tam, gdzie chodzi o świętą sprawę narodową. Organizacje spiskowe ogarnęły wkrótce wszystkie ziemie polskie.

Wielkopolska dała pierwszy szczytny przykład walki z zaborcami. Tu dogorywał i życie zakończył niezłomny, niestrudzony, niczem niezrażony, ranami okryty, bohater 100 bitew, nieśmiertelny w pamięci i uczuciach narodu, Jan Henryk Dąbrowski. Zaraz po kongresie rzucił hasło tajnych organizacyj, a konając w umiłowanej Winnogórze mówił w proroczym widzeniu do ukochanego adjutanta swego Ludwika Szczanieckiego: „myślcie o sobie, pamiętajcie o Sprawie i wiercie, że „co nam obca przemoc wzięła, szabłą odbierzemy“. Hasło to podejmuje Szczaniecki, gen. Mielżyński i gen. Umiński. Powstaje w Poznańskim tajny „Związek Kosynierów“, który szerzy się szybko. Wkrótce spiskowcy ci łączą się z Królestwem. Tam już działa szereg patriotów w sferach cywilnych i wojskowych. Specjalnie czynny był major Łukasiński i podpułkownik Prądzyński. Obwody spiskowe obejmują literalnie wszystkie ziemie polskie: Królestwo, W. Ks. Poznańskie, Galicję, Litwę, Wołyń, nawet ziemie nad Dnieprem i Dźwiną. Wszędzie są chętni i ofiarni, by służyć wspólnej sprawie. Niema słupów czy rowów granicznych, niema zakazów „Związku trzech czarnych orłów“, niema różnych praw i bezpraw zaborców i okupantów, gdy chodzi o Polskę. To też nie skutkują zakazy, tropienia, więzienia. Jak grzyby po deszczu wyrastają tajne kluby: tu „Wolnych Polaków“, tam „Towarzystwo Patriotyczne“, ówdzie „Związek Templarjuszów“. Cel — zawsze jeden i ten sam: szyćkować się i być w pogotowiu na zew w obronie godności i wolności osobistej i narodowej, w obronie tradycji polskiej państwowej, w obronie programu Unji Lubelskiej, t. j. ziem Litwy i Rusi, w obronie świętego testamentu walki o niepodległość, przekazanego przez Kościuszkę, Poniatowskiego, Dąbrowskiego. — Trzy nazwiska, a jedna myśl przewodnia stają się coraz bardziej drogą narodowi, a specjalnie młodzieży dorastającej, gotowej do ofiar. A jedyny wykładnik tego umiłowania — to plan walki z przemocą.

„Mierz siły na zamiary,
Nie zamiar według sił“

woła Mickiewicz — romantyk rewolucjonista — ale wskazuje drogę długą i ciernistą, na której niema dość ofiary, wyrzeczenia się siebie, ukochanych, nawet życia. Jego „Konrad Wallenrod“ rozplomienia umysły i dusze, porusza najtwardszych i jest bezwarunkowo literacko-romantycznym podłożem „nocy listopadowej“.

A inne przyczyny wybuchu rewolucyjnego?

Przedewszystkiem więc sam Aleksander. Znakomicie to ujmuje generał Ignacy Prądzyński w słowach: „Aleksander, tworząc Królestwo z konstytucją,

ten niedojrzały wyrostek jego długich filantropijnych zamysłów względem Polski — założył węgielny kamień do nowego powstania i uczynił je nieodzownem“. A gdy wreszcie umarł ów „najchytrzejszy z Greków“, ów „koronowany Hamlet“ nie lepiej — ale gorzej poszły rzeczy za jego następcy Mikołaja. Bunt „dekabrystów“ w samej Rosji, domagających się wolności, nieludzko stłumiony, dawał przedsmak rządów barbarzyńcy, nic nie mającego w sobie z kultury i obejścia się brata. Ani koronacja w Warszawie, ani przysięga „ze łzami w oczach“ na Konstytucję, ani schlebianie wojsku, nie mogło już zmniejszyć wstrętu narodu do owego dziwnego związku z Rosją. Wytropienie „Towarzystwa Patrijotycznego“, proces, skazanie przeczystego ofiarnika Sprawy Polskiej, Łukasińskiego na więzienie, w którym miał przebyć ten męczennik lat 40 — dokonało reszty. Naród w najlepszej swej części nie chciał dłużej tego sztucznego niejasnego położenia, nie chciał związku z Rosją, z jej dynastją, z jej systemem, z jej przeszłością, teraźniejszością, z jej niepewną, a tak w roo lat później przerażającą przyszłością. Czekał już tylko na sposobność, by uderzyć w „czynów stal“.

IV.

Nastrój niepewności, jakiegoś oczekiwania i naprężenia nie trwał długo. Naród od nowego władcy nie spodziewał się absolutnie niczego, a z sytuacją nie pogodził się. W stosunkach zaś europejskich zachodziły raz po raz wypadki stwierdzające, że despotyzm poszczególnych władców — reprezentujących z zasady jeden system tylko, — ostrą represję przeciw przejawom wolnościowym — budzi w narodach reakcję. Rozruchy w Hiszpanji, Portugalji, państwach włoskich, wskazywały, że gmach „Świętego Przymierza“ trzeszczy w posadach. Aż wkońcu wybuch rewolucji lipcowej 1830 r. we Francji i zmiecenie z tronu dynastji Burbonów zdawały się zwiastować, iż zbliża się już koniec Starej Europy.

Ruch ten wywołał w Polsce łatwy do zrozumienia entuzjazm. Stara sympatja do Francji żyła zawsze przeciw. Teraz potężniała. Wypadki rodziły nadzieję, że i nad Wisłą stosunki się zmieniają. Zaniepokojenie zaś rządów despotycznych było poważne. Zaczęły się one znosić z sobą, by wszcząć akcję wspólną dla zaduszenia wrogich ruchów. Projektowaną akcję miano przyśpieszyć, gdy za Francją poszła Belgja, chwytając za broń przeciw ciemniącym ten kraj rządóm holenderskim. Car Mikołaj planował do spółki z Prusami wielką „karną“ wyprawę zbrojną na „buntowniczą“ Francję i Belgję. Ów „żandarm Europy“ nie zawahał się wyznaczyć armji polskiej roli... przedniej straży. Dzięki stosunkom spiskowych organizacje tajne w mig dowiedziały się o tym niebywałym planie.

W narodzie zawrzało...

Polacy znieśli już wiele: i komedję konstytucyjną Aleksandra, i zawód najsluszniejszych nadziei, i gwałty w wojsku nad młodzieżą — wszystko w myśli, by sytuacji nie utrudniać, by tem samem nie potrzebować rezygnować z ziem Litwy i Rusi, o których przyłączeniu myślano ciągle. Plan despoty moskiewskiego stawił kres dalszej cierpliwości. Armja — ukochanie narodu — nie

może pójść gnieść wolności braterskiej Francji — tej Francji, o której w średnio-wieczu mówiono: „gesta Dei per Francos“, która przez wieki jaśniała blaskiem cnoty rycerskiej, czy wartości kulturalnych, która za Rewolucji rzucała w świat słynną i olbrzymią w swej społecznej wartości „Deklarację Praw Człowieka i Obywatela“, będącą postawą demokracji XIX wieku. Za sztandarami Napoleona, ufny w jego gwiazdę, niosącą, jak się zdawało, wolność Polsce, szedł tak niedawno cały naród polski — a dziś miałby żołnierz polski iść gnębić Francję? — Nigdy. Nie pójdzie... I nie poszedł... Bo naród się na to nie zgodził, bo w osobach spiskowców cywilnych i wojskowych chwycił za broń i 29 listopada 1830 r. położył kres dotychczasowemu stanowi niepewności.

Ruchy we Francji i Belgji, plany zaborców — przyspieszają więc wybuch, są one tego wybuchu powodem.

A same czynniki powstania listopadowego?

Są dwa. Główne i ogromnie ważne. Pierwszy czynnik, dziejowo-polityczny, to stare dążenie polskiej racji stanu do rozszerzenia terytorjum maleńkiego Królestwa przez przyłączenie Litwy i Rusi. Rewolucja więc Listopadowa była wojną Polski z Rosją o ziemie za Niemnem i Bugiem. Drugi czynnik prawno-państwowy — walka o konstytucję, stale gwałconą, o ideę poniewieranej wolności, o swobodę spokojnego rozwoju narodowego. Kończył się 15-letni okres prób porozumienia polsko-rosyjskiego, w których Polacy stwierdzili kolosalny zasób i dobrej woli i nawet zaparcia się siebie; wyrzec się jednak nie mogli swej wielkiej Idei i najżywotniejszych interesów.

Zaczęła się więc rewolucja i owa wojna polsko-rosyjska, na którą patrzyła cała Europa, w której naród polski wykazał swą wielką gotowość do ofiar, a żołnierz okrył się nieśmiertelną chwałą, przekazując bohaterski swój czyn orężny następnym pokoleniom, jako niezniszczalny i niezaprzeczalny testament.

V.

29 listopada 1830 r. „kości zostały rzucone“ przez Polskę. Płomień buntu, wzniecony przez garstkę „belwederczyków“ i Szkołę Podchorążych miał objąć cały naród, cały kraj polski, bez różnicy zaborów, miał się szeroko rozlać po ziemiach Litwy i Białej Rusi. Rozpoczęła się walka na śmierć i życie dwóch narodów, dwóch kultur, dwóch ideologii państwowych — dwóch przeciwności. Od wyników jej zawisły losy nie tylko Królestwa Kongresowego, tego serca narodu, lecz wszystkiej Polski, a co więcej — ziem ruskich za Bugiem i litewskich za Niemnem. Ziemie te od wieku XIV, od Gedymina i Kazimierza Wielkiego, były pozyskane w ciągu pokoleń albo całkowicie, albo w przeważnej części dla katolicyzmu lub Unji, dla zachodniej myśli, kultury i obyczaju, dla zachodniego rzymskiego pojęcia prawa i obowiązku państwa i jednostki, dla zachodnich zdobyczy konstytucyjnego życia i cywilizacji. Dążeniem swem na Zachód ku Wiśle i Warcie, ku Poznaniowi i Krakowu Rosja starała się wpływy te burzyć lub osłabiać. Zabrane te ziemie ogłoszono po rozbiorach przecież za wracające na łono matki ojczyzny Rosji. Na rozkaz carskiej poli-

tyki historycy rządowi, hojnie wynagradzani, fałszowali przeszłość tych nie-szczęśliwych ziem, nie będących może etnograficznie polskimi, ale nigdy nie pragnących nad sobą jarzma wielkiego Księstwa czy carstwa moskiewskiego, wyrosłego zczasem, z krzywdą sąsiednich ludów i narodów, w wielką, zachłanną, bezwzględną, nienasyconą nigdy Rosję. Tragiczne dzieje russyfikowanej Ukrainy, przezwaną niesłusznie Małorosją, czy losy Litwy, chcącej za wszelką cenę dzielić dole i niedole Korony — stwierdzały przez szereg pokoleń, iż wielka Idea Jagiellońska wydała owoce i że Zachód Europy kończył się dopiero gdzieś nad Dźwiną i Dnieprem, razem z ostatnim kościołem katolickim czy cerkiewką unicką, z ostatnim polskim dworkiem szlacheckim czy pałacem magnackim. To pojęcie tkwiło bardzo głęboko nawet u Rosjan. Gdy korpusy rosyjskie szły na Polskę w r. 1831, to podoficerowie mówili do żołnierzy po przejściu Dźwiny: „trzymać się karnie... Tu inni ludzie, tu nie Rosja“.

W wojnie 1831 r. szło właśnie o ziemie Litwy i Rusi, gdzie naród polski widział swe dziejowe posłannictwo, swe naturalne wiekowe dążenia. Zdrowy instynkt narodu odgadywał linię prawdziwej drogi państwowej polskiej — linię tę, która dziś po wieku walk i zawodów, jest po dawnemu tak naturalną i prostą.

Królestwo więc Kongresowe, obejmujące zaledwie 127 tysięcy kilometrów kwadratowych o 4 200 000 ludności wystąpiło do walki z olbrzymią Rosją, mającą 20 milionów kilometrów kwadratowych i 52 miliony ludności. Wierzone jednak i słusznie w Polsce, że nie ilość, lecz jakość stanowi, a Mickiewicz prawidłowo w „Pieśni Filaretów“ wywodził grą słów, że: „jedność większa od dwóch“ — mając na względzie pojęcie jedności duchowej narodu.

W całym państwie rosyjskim, a w armji w szczególności, stosunki były wcale niewesołe, lub wręcz nieznośne. Armja ta, bierna i posłuszne narzędzie w rękach przeważnie mało utalentowanych wodzów, w połowie niemieckiego pochodzenia, bezideowo „żerujących na Rosji“, była głównym przedmiotem troskliwości rządu; pochłaniała ona trzecią część sporego budżetu państwa, a bezwzględnym systemem rekrutacji wyczerpywała siły ludności, pokornej, cichej, potulnej, ale nie bezkrytycznej. Naówczas służba w wojsku rosyjskim trwała długich lat 25, wśród warunków fatalnych pod względem higieny, kwater, żywienia, wymagań i żelaznej dyscypliny. Od żołnierza rosyjskiego, naogół tępego i zahukanego, wymagano bardzo wiele — dawano mu zaś materialnie bardzo mało, duchowo i kulturalnie — nic. Umiano za to posługiwać się jego przysłowiową wytrzymałością fizyczną; umiano zrećnie wyzyskać jego wielkie przywiązanie do religji, jak to było w roku 1812, przedstawiając Francuzów, jako „wysłańców djabła“, w roku 1831 zaś jego nieskomplikowany patriotyzm, tłumacząc mu, iż „Lachy“ chcą zniszczyć „matuszkę Moskwę“ i cara wziąć do niewoli.

W specjalnym tylko wypadku hojnie obdarzano żołnierza rosyjskiego: gdy szedł do trudnego ataku, pojono go obficie wódką, jak to było pod Grochowem, czy przy szturmie Warszawy. Zwykle zaś władza za najmniejsze przewinienie szafowała bez miłosierdzia karą cielesną; setki i tysiące pałek stosowano

często do niewinnych biedaków, „obrońców państwa”. Naogół żołnierz w Rosji był mało ceniony przez wodzów jako człowiek. Wyjątki stanowią tacy dobrzy wodzowie, jak Suworow za Katarzyny i Pawła, Kornilow za wojny krymskiej 1855 r. lub Skobielew za wojny tureckiej 1878 r. Zwykle o konia więcej dbano, niż o człowieka, bo wszak w Rosji ludzi dużo, jak mówiono, to też straty w tem wojsku były nieraz olbrzymie. W ciągu 10 lat wojen napoleońskich, od Austerlitz r. 1805 do 1815 armja rosyjska, nie zawsze będąca na linii bojowej, straciła do 1 200 000 ludzi, z czego $\frac{2}{3}$ z chorób, niewygód, głodu i ran zaniedbanych. W tym to czasie wzięto na przestrzeniach państwa 1½ miliona rekruta, ogalając całe gubernje, nieraz w 60% z ludności męskiej. Pobór taki, w którym stosowano szeroko terror i bezwzględność, ale i protekcję wraz z przekupstwem, do rozpaczki doprowadzał ludność. Ale liczebnie armja musiała być zawsze silną, tak liczną „jak pruska i austriacka razem wzięte” i na całej przestrzeni olbrzymiego państwa liczyła w r. 1831 do 800 000 ludzi, gotowych naogół do dużego wysiłku fizycznego, o małych potrzebach, o mniejszem jeszcze zrozumieniu celów wojny. Wartość bojowa tych karnych szeregów była jednakże, bezstronnie mówiąc, duża; czasem, jak naprzykład pod Grochowem, nawet pierwszorzędna. Niżsi oficerowie, osobiście odważni i dzielni w potrzebie, samodzielności i większej inteligencji nie wykazali żadnej. Dowództwo wyższe naogół bierne, nieznające warunków, nie doceniające przeciwnika, nieraz niezaradne, niedołężne i nieopatrne — nie przejawilo wyższych talentów. Było to ono w tej wojnie przez swe braki mimowolnym sojusznikiem Polaków. Tragizm też wielki Polski polegał między innymi na tem, że nie umiano z reguły wyzyskiwać tej słabej strony rosyjskiej.

VI.

W obronie więc idei państwowej i godności narodowej chwyciła w r. 1830 za broń armja Królestwa, licząca w dniu 29 listopada 1830 r. w szeregach około 42 000 żołnierzy. Była to oczywiście liczba nad wszelki wyraz niedostateczna. Jakość natomiast tego wojska była wprost niezrównana. Ustaliło się w dziejach wojskowości zupełnie słusznie mniemanie, iż wojsko polskie 1831 r. było najlepszem w Europie, a tem samem w świecie. Najsurowiej przeprowadzone bezstronne badanie porównawcze z współczesnymi armjami burbońskiej Francji, metternichowskiej Austrii czy Prus Scharnhorsta z niewielką armją polską — daje tej ostatniej pierwszeństwo. Złożyło się na to kilka czynników: i natura Polaka, który wszak jest urodzonym żołnierzem i żywa naówczas wielka tradycja kościuszkowska, legjonowa i napoleońska — kształcąca ciało i duszę żołnierza-obywatela, obrońcy swego kraju i rodzinnego ogniska; i niezaprzeczalne postępy w wyszkoleniu i administracji wojska za czas 15 letnich rządów naczelnych Wielkiego Księcia Konstantego Pawłowicza. To też armja ta świetnie przeszła w 1831 r. próbę ogniową, zajaśniała cnotą wojskową i obywatelską w wysokim stopniu, czyniąc nieraz nadludzkie wprost wysiłki, by sprostać zadaniu i obronić wkońcu to, co, nie z jej winy, obronić się już nie dało. A Ona, ta mała armja o wielkim duchu, jedyna w narodzie spełniła bez szemrania swój obowiązek

twardy, ale wdzięczny, aż do końca będąc, jak owi starożytni Spartanie w Termopilach, tarczą ojczyzny przed natarciem wroga.

Przez lat sto swoi i obcy będą silić się na rzeczową czy przesadną krytykę wypadków 1830/31 r.; pod ciosami zarzutów, najcięższych oskarżeń, goryczy i żalu padną ówczesne „wielkości“ — czy wodzów, jak Chłopicki, Skrzynecki, Krukowiecki, czy członków Rządu Narodowego, jak ks. Adam Czartoryski, Joachim Lelewel, czy posłowie zacni, a tak nieenergiczni, z rewolucyjnego Senatu i Sejmu — ale zarzut nie tknie żołnierza z powstania narodowego 1831 r., który z odmętu pożogi i klęski wyniósł nieskalaną część żołnierską, pozyskując sławę niezmierną.

Polityka obu „konstytucyjnych królów polskich“, a carów rosyjskich, Aleksandra I i Mikołaja I w stosunku do armji polskiej polegała na trzech zasadach: 1. na największym spojeniu jej z armją rosyjską, 2. na największym oderwaniu jej od społeczeństwa i jego konstytucji, 3. na największym ograniczeniu jej rozrostu. Wyobrazicielem tej polityki rosyjskiej w armji polskiej stał się „carski brat“, Wielki Książę Konstanty Pawłowicz. Pomocną mu w tej pracy była cała gromada oddanych mu wojskowych nietylko Rosjan, ale i, niestety, Polaków. To też Konstanty cały czas zabiega o ściśle współzycie armji polskiej i oddziałów rosyjskich. W większych ćwiczeniach i manewrach obie armje razem biorą udział. Konstanty, dowodzący też korpusem „litewskim“, często powołuje oddziały tego korpusu do współdziałania z Polakami. Wszystko się robi, by armję polską uzależnić od „króla“ bezpośrednio, a odsuwać od społeczeństwa, konstytucyjnej kontroli sejmu czy rządu. Pożałowania godna jest w tych warunkach rola ministra wojny. Jest nim początkowo zacny i prawy generał Józef Wielhorski, stary żołnierz kościuszkowski i legjonowy, wielki rygorzysta a gorący Polak. Próbował on walczyć z tą polityką i samowolą W. Księcia, lecz, ostatecznie zrażony deptaniem przezeń praw konstytucji, podał się do dymisji, nie chcąc być tylko „malowanym ministrem, podpisującym wyłącznie rachunki na dostawę drzewa opałowego“. Tego tylko czekał Konstanty. Innego ministra wojny już nie mianowano, natomiast urzędować zaczął „zastępca jego“. Był nim Maurycy hr. Hauke, dobry żołnierz, nieustraszony obrońca Zamościa w 1813 r., ale charakter marny, służbista bezkrytyczny, zausznik Konstantego. Ta praca „wiecznego“ zastępcy ma trwać aż do „nocy listopadowej“ lat 13 — bo tak było najdogodniej dla polityki Petersburga. Ta też polityka wszystko robiła, by do naturalnego, a tak pożądanego przez Polaków rozrostu armji nie dopuścić.

Służba w wojsku polskim trwała 10 lat, poczem wysłużeni albo wracali do domów, albo z własnej chęci pozostawali w szeregu, otrzymując pewne przywileje. Wracający „do cywila“ wolni już byli na zawsze od wojska. Rekrut nowy wypełniał powstałe luki. Projektowana początkowo rezerwa i milicja, o której zorganizowanie usilnie zabiegano z polskiej strony, nie weszła w życie dla wyżej wymienionych względów politycznych. To też rezerwy, w dzisiejszem znaczeniu tego wyrazu, nie było wówczas i to zemściło się bardzo na armji w r. 1831. Szeregi zasilać trzeba było ochotnikami, nieznanymi służby, lub starymi wysłużonymi już żołnierzami. „Stara armja“ z przed 1830 r. w bojach powoli stopniała i to też poważnie odbiło się na losach akcji wojennej.

Plany więc rosyjskie częściowo się udały. Natomiast oderwania armji od społeczeństwa Rosja nie przeprowadziła. Wojsko do 1830 r. było i pozostało polskiem w głębi duszy, za powstania zaś zasilone olbrzymim dopływem ochotników z Poznańskiego i Galicji, stało się ukochaniem narodu i jego jedyną bezcenną obroną. Od generała do ordynansa — każdy żołnierz był ze społeczeństwem związany sercem, krwią, przyjaźnią. Jaśniały twarze, gdzie się pokazał mundur polski. Jaki miły obraz harmonji armji ze społeczeństwem przedstawia nam ówczesny pamiętnikarz: „Kiedy pułk polski przechodził ulicami Warszawy, poprzedzony muzyką, która na marsz i takt kroku podwójnego wygrywała najmiłsze i tyle popularne ludowi śpiewki, paręset malców ulicznych go poprzedzało, uformowane w sekcje lub plutony, z twarzą wesołą, uśmiechniętą, w ruchu swobodnym, dumnie i hardo przed siebie patrzących. I były to młode kadry przyszłych ochotników, wojaków naszych. Zatrzymywał się przechodzień, aby przypatrzeć się tym dzielnym hufcom, chociaż ten widok codziennie był powtarzany. Przed sztandarem, na którym świecił dziewięciowiekowy nasz orzeł biały, cywilny uchylał kapelusza, bo serce w nim rozgrzewało się na widok godła narodowego. W oknach kamienic błyszczały śnieżne twarze warszawianek i dzieci w rączęta klaskających. Dumnym był Polak z wojska narodowego. Barwny, zgrabny mundur wojskowy wszelkiej broni porywał oczy. Żołnierz cenił swój mundur mimo jego braków, zgodnych z ówczesną przesadną modą, panującą zresztą w całej Europie“. Na prowincji garnizon był ośrodkiem życia kulturalnego i towarzyskiego. Zapraszano też wojskowych wszelkich stopni w gościnę zawsze i wszędzie. Żołnierz więc czuł, że jest u siebie, wśród swoich, życzliwych, boć to „ten temu brat, a ten temu swat“... W r. 1831 krwią swą stwierdził żołnierz polski, że wie, o co chodzi, wie kogo, czego i kogo broni. Więc walczył i ginął wtenczas w armji polskiej żołnierz-obywatel, prawy następca rycerzy z pod Raszyna, Smoleńska, Lipska, Saragossy czy Raclawic. Zrośnięty z narodem, wcale inteligentny, uświadomiony żołnierz odczuwał mocno przez lat 15 system reprezentowany przez Wielkiego Księcia. Cenił wysiłki naczelnego wodza, zmierzające do usunięcia nadużyć, do porządku, sprawiedliwości; cenił jego pracę nad wyszkoleniem, dbałość o dobrą opinię wojska u Rosjan, u cara, u obcych; żołnierz z siebie wychodził, by na przeglądzie przed carem najlepiej się pokazać. Nie chodziło mu o „rubla na głowę“, którego dostawał, ale o dobrze zrozumianą dumę narodową. Ale nie godził się na system gwałtów, zniewag, kary cielesnej, szpiegostwa — rzeczy tak obcej istotnej tradycji wojskowej polskiej, reprezentowanej chwalebnie przez Księcia Józefa Poniatowskiego. To też buntował się w duszy, zaciskał zęby, ale karnie trwał na stanowisku... do czasu. Konstanyty igrał z ogniem i przegrał. Lecz, rzecz dziwna, Konstanyty przez 15 lat pobytu w Polsce przywiązał się na swój sposób do niej trochę, a do armji polskiej najbardziej. Dbał też o nią do przesady, ćwiczył ją aż do niemożliwości, aż do utraty równowagi własnej, gdy na słynnych paradach na placu Saskim, sprawę guzika czy haftki traktował jak sprawę państwa... Dziwak to był wogóle w każdym calu. Każdą drobnostką się zajmował. Meldujących się u niego wojskowych oglądał od stóp do głów. Za najmniejsze uchybienie w mundurze żołnierza-szeregowca odpowiadał

dowódca dywizji nawet. To też, gdy żołnierz szedł się meldować, ubierano go 2—3 godziny, a oglądało go z 10 oficerów różnych stopni. Z początku w piechocie noszono czarne, bardzo obcisłe, kamasze sukienne. Lekarze uznali je za niewskazane i car Mikołaj je zniósł. Konstanty pisał, prosił, błagał, by zostało po dawnemu. A gdy nic nie pomogło, wyrzekł te charakterystyczne słowa: „To ciężko. Ja mu ustąpiłem tronu, a on nie chce mi ustąpić w sprawie spodni i kamaszy“. Tron i kamasze w głowie jego były pojęciami równej wartości. Nierówny, despotyczny, depcący cudzy honor i ambicję, fantasta — nie mógł niczem Polakom imponować, nie umiał niczem zachęcić; serc nie pozyskał w Polsce, Mikołaja brakiem energii w wojnie zraził; upadł nieżałowany.

VII.

Ze wszystkich polskich wysiłków zbrojnych, zmierzających do odzyskania niepodległości, wojna 1831 r. przedstawia, z punktu widzenia wojskowego, największy interes. To też przebieg walki dwóch tak nierównych potęg budził u ludzi zawsze dużą ciekawość. Polska działała wtenczas zupełnie samodzielnie, najbardziej może samodzielnie w XIX wieku; błędy więc czy dodatnie strony jej wojskowej akcji stały się przedmiotem bardzo dokładnych i sumiennych badań swoich i obcych. Olbrzymi materiał historyczno-krytyczny, tyżący się tej najbardziej regularnej polskiej wojny powstańczej, daje dokładny obraz owego nieśmiertelnego czynu orężnego. Polityczno-wojenne tło powstania listopadowego uwypukla kilka wypadków najważniejszych, od których są uzależnione inne drugorzędne. Jest ich sześć: 1. Noc 29 listopada 1830 r.; 2. Uchwała 25 stycznia 1831 r. połączonych izb Sejmu i Senatu, detronizująca rodzinę Romanowów; 3. bitwa pod Grochowem 25 lutego; 4. bitwa pod Ostrołęką 26 maja; 5. rozruchy w Warszawie 15 sierpnia; 6. zdobycie Warszawy przez Rosjan 7 września.

Inicjatywa powstania wyszła, jak wiemy, od spiskowców cywilnych i wojskowych. Kilkunastu „studentów i literatów“ ze sławnym później poetą-demokratą Sewerynem Goszczyńskim i 220 wychowanków Szkoły Podchorążych piechoty z ukochanym ich instruktorem, Piotrem Wysockim, na czele — dało hasło do walki. Za ich szczytnym płomiennym czynem poszła cała armja i ludność stolicy, opowiedział się cały kraj i naród. Wyjątki, ludzie obojętni na zapal i wysiłki narodu, potwierdzały jeszcze dobitniej konieczność i świętość sprawy powstania narodowego. Pierwsze chwile jego wydały w ręce spiskowców centrum kraju — Warszawę. Los jakby sprzyjał ruchowi. Aczkolwiek bowiem napad na Belweder, choć dobrze pomyślany, nie udał się i W. Książę ocalał, a spiskowcy nie rozbili pułków jazdy rosyjskiej w koszarach — ludność miasta jednak zaraz podała im rękę, opanowano szybko arsenał i z pomocą polskich oddziałów wojska utrzymano w posiadaniu większą część miasta wśród nieznanych walk z rosyjską załogą. Zaskoczony wypadkami Konstanty nie dorósł, z punktu widzenia rosyjskiej racji stanu, do zadania chwili i nie wykazał ani energii, ani inicjatywy, ani przytomności umysłu. Ograniczył się do zgromadzenia rosyjskich oddziałów i do obserwacji, uważając, że Polacy sami winni sprawę między sobą załatwić.

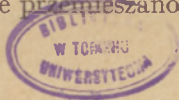
Ów czynny zwolennik haftek i guzików, stał się biernym świadkiem ruchu, który miał go pozbawić stanowiska, a Rosji przyczynić bardzo dużo kłopotów. Nie po raz pierwszy „ztracał się“ Konstanty w stosunku do ludzi i wypadków. Jako zupełnie młody człowiek towarzyszył Suworowowi, temu, największemu wodzowi rosyjskiemu wszystkich czasów, w jego słynnej wyprawie do Włoch i Szwajcarii, spełniając potulnie dziwaczne nieraz rozkazy feldmarszałka. Pod Austerlitz w r. 1805 mógł być czemś więcej, jak biernym wykonawcą rozkazów austriackiej Kwatery Głównej i w decydującej chwili męstwa wcale nie okazał. Po klęsce rosyjskiej pod Friedlandem doradzał porywczo pokój za wszelką cenę; to samo w pamiętnym 1812 r., gdy właśnie taktyka zwlekania i unikania decyzji ocaliła Rosję... W zgodzie więc był z samym sobą Wielki Książę w ową noc listopadową, nie zdusiwszy odrazu ruchu powstańczego, co mógłby nawet bez wielkiego trudu uczynić. Wypadki wartko potoczyły się naprzód. Powstańcy, osobiście ofiarni i bezinteresowni, szukali wodzów. Porywczo i oręźnie rozprawiono się z tymi, którzy „nie wierząc w Polskę“ uchylali się od kierownictwa... Bagnety podchorążych skrwawiły się krwią, niestety, polską... A wodza nie było i właściwie nie miało być... Ci, co to miano potem nosili, choć byli „powołani“ — nie byli „wybrani“. Tragedja narodowa polegała na tem, że gdy chciano i umiano słuchać, nie chciano i nie umiano rozkazywać wśród tych, co kierownictwo dzierżyli i odeń się uchylali.

Podchorążowie, spełniwszy swój wielki czyn dziejowy — powołania narodu do broni — zeszli z widowni wypadków i w wojnie pełnili wzorowo skromną rolę młodszych oficerów. Ster ruchu przeszedł do „starszych“, zastraszonych wybuchem, chcących mniemane „zło“ naprawić, najniepotrzebniej układających się z Konstantym i carem Mikołajem. Ten ostatni groził, żądał poddania się na łaskę i niełaskę, korespondował z rządem polskim, — ale ani jednego dnia nie tracił i zbierał wojska, rozumiejąc, że po tem, co zaszło, oręż już tylko rozstrzygnie. Był więc car więcej przewidującym, niż polscy mężowie stanu, myślący, że jakoś „rzecz się złoży“. Odpowiedzialność za bałamuctwo i stratę drogiego czasu ponoszą i cywilni politycy i generał Chłopicki, ongiś stary „lew napoleoński“, bohater bojów legionowych we Włoszech i w Hiszpanji, popularny w kraju dla swych ostrych zatargów z Konstantym. Jemu, zwycięzcy z pod Epili i Saragossy, pogromcy Kalabrii i Apulji, znającemu nawylot wielkie wartości wojskowej doktryny napoleońskiej — nie wolno było toczyć małostkowych sporów ze swem otoczeniem i z Sejmem, tracić czas na korespondencję z Petersburgiem, a przede wszystkim odrzucać znakomite plany ofensywne, opracowane przez generałów Prądyńskiego i Chrzanowskiego. Ów „dyktator“ będący właściwie „kunktorem“ w złym stylu, wprost „bał się“ Rosji, nie chciał jej „drażnić“ — więc biernie patrzył, jak armja rosyjska spokojnie szła na Polskę. Rozentuzjasmowany naród oczekiwał czynów, dawał dyktatorowi moralny kredyt, śpiewał mazurka:

„Nasz Chłopicki wojak dzielny, śmiały,

Poprowadzi naszych zuchów do zwycięstw i chwały“

— a rzeczywistość wyglądała inaczej. — Nie wzięto do wojska 216 000 młodzieży w wieku poborowym w Królestwie i nie przemieszano ich ze „starem“ wojskiem,



jak to zrobiono ze znakomitym skutkiem w wielkiej rewolucji francuskiej... Chłopicki nieżyczliwie patrzył na ochotników z Galicji i Poznańskiego, nazywając ich nawet „obcymi poddanymi“, którzy utrudnialiby polityczne pertraktacje z carem... W takim nastroju kierujących czynników nie podjęto, mimo ogólnego entuzjazmu, tego wojskowo-organizacyjnego wysiłku, jakim się szczyliło Księstwo Warszawskie w r. 1812.

Choć wojsko i lud oddychały pragnieniem walki — inicjatywę strategiczną całkowicie pozostawiono Rosji. W Sejmie i w Senacie natomiast uczyniono krok śmiały, usuwający wszelką możliwość pokojowego załatwienia zatargu. Zapał ogólny, przygotowania Rosji, pismo Mikołaja, grożące zagubą Królestwa — wywołały słynne powiedzenie połączonych izb Sejmu i Senatu 25 stycznia, na którym jednogłośnie uchwalono, że Mikołaj i cała dynastia Romanowych utraciła prawa do korony polskiej... „Niema Mikołaja“ — rozległo się po całej Polsce. Akt ten miał to następstwo, że car postanowił za wszelką cenę zgnieść „bunt“; on i jego następcy nigdy Polakom nie darowali tej zniewagi; uważali się nie za królów, lecz za carów Polski; wyłączyli od wszelkiej amnestji posłów, podpisanych na akcie; „obrażeni“ carowie, bawiąc w Warszawie, nigdy nie mieszkali w Zamku Królewskim, jako symbolizującym majestat prawej korony polskiej...

W Polsce przed spodziewaną zacieklą walką ograniczono się tylko do powołania żołnierzy wysłużonych i oficerów dymisjonowanych. Nowe pułki tworzone potem już prawie w ogniu bitew. W przeddzień bojów grochowskich stanęło w szeregach do 100 000 żołnierza, co nie odpowiadało grozie położenia. Zamiast iść na Litwę, zdecydowano się pod wpływem Chłopickiego, dać opór Rosjanom pod samymi murami Warszawy, wyrzekając się korzyści, jakie dać mogła ofensywa. To też pozwolono spokojnie zbliżyć się do Bugu 150 000 dobrego żołnierza liczącej armji rosyjskiej, pod dowództwem starego i ostrożnego Niemca w służbie rosyjskiej, feldmarszałka von Diebitsch. Ten przeszedł rzekę bez przeszkody w kilku miejscach i począł koncentrycznie zbliżać się ku Warszawie... A Polacy czekali... aż to ich zachowanie poczęło dziwić Rosjan. Myślał więc wódz rosyjski, że szybko się z „buntem“ załatwi: uderzy, metodą Suworowa, na Pragę, weźmie ją jednym zamachem i na karnawał jeszcze znajdzie się w Warszawie. Polska jednak od czasów rozbiorów wzmocniła się znacznie — więc do tak rychłego zlikwidowania powstania nie doszło. Po szeregu drobnych starć, w których pod Dobrem i Kaluszynem znakomicie spisała się piechota polska, a pod Stoczkiem — jazda, doskonale prowadzona przez najlepszego kawalerzystę polskiego, gen. Dwernickiego, Rosjanie zbliżyli się pod Pragę. Tu czekała na polach Grochowa zgromadzona armja polska. Tu postanowiono zrobić „z polskich piersi Termopile“. I tak się stało...

VIII.

Słynna, legendarna już niemal po 100 latach, walna bitwa pod Grochowem, rozpatrywana jest zwykle łącznie z drobniejszymi akcjami bojowymi, poprzedzającymi ją lub jednoczesnymi. 80 000 Rosjan dążyło ku równinie grochowskiej, przytykającej do bagien nadwiślańskich, szykując się do złamania potężnym

ciosem sił polskich, wzięcia jednym zamachem nieufortyfikowanej Pragi, zniszczenia lub opanowania jedyne go na Wiśle mostu i tem zgniecienia oporu Polaków. Większość sił rosyjskich szła od strony Siedlec przez Wawerskie lasy, część mniejsza, omijając Modlin, zdążała od północy. Chłopicki, po zrzeczeniu się przezeń niefortunnej dyktatury, kierował armją polską w charakterze doradcy przy nominalnym naczelnym wodzu, którym był gen. Michał ks. Radziwiłł; ten dawny żołnierz napoleoński, ongiś adjutant księcia warszawskiego, czcigodnego Fryderyka Augusta Sprawiedliwego, króla saskiego, bohaterski obrońca Gdańska w 1813 r.; prawy i zacny Polak, nie miał jednak kwalifikacyj kierowniczych i polegał całkowicie na radach Chłopickiego. Ten ostatni rozporządzał 50 000 wojska na polach grochowskich.

Główna grupa rosyjska musiała stoczyć pod Wawrem z Polakami zawziętą walkę o wyjście z lasów na równinę. Mimo dwukrotnej przewagi nieprzyjacieli nie zламаł polskich dywizyj, ale, poniosłszy ogromne straty, kontentować się musiał nieznacznym zyskiem terenu. Próba rosyjska owdnięcienia nagłym atakiem olszynką, będącą kluczem pozycyj polskich, zakończyła się porażką wroga, który jednak stanął na równinie w obliczu Polaków.

Armja polska w tej sytuacji znajdowała się w środku w stosunku do wspomnianych obu grup rosyjskich. Miała więc korzyści t. zw. położenia centralnego, mogąc działać, jak to często robił Napoleon, skupionemi siłami na rozdzielonego przeciwnika. Mógł Chłopicki błyskawicznie uderzyć przewagą dużą na słabszą grupę wroga pod Białolęką i potem przeciwstawić się silniejszej pod samym Grochowem. Obawiał się tego poważnie von Diebitsch, z polska Dybiczem zwany. Niestety, Chłopicki nie wykorzystał tej sposobności i trwał w obronnej bierności. Obronną więc walkę tylko stoczono małemi siłami pod Białolęką przy dziwnie słabym nacisku Rosjan. Jednocześnie zaś zawrzała główna bitwa pod Grochowem. Rosjanie, ufni w przewagę liczebną, nie silili się na jakiś skombinowany manewr oskrzydlaający. Celem ich taktycznym było teraz frontowem uderzeniem opanowanie olszyny. O nią stoczono ów sławny, homerycki zaiste, bój. Potężne ataki wroga, uderzającego nie całemi siłami, a poszczególnemi bataljonami, próbowały wydrzeć Polakom olszynę. W ogniu bitwy w Chłopickim odżył bohater, kierował bitwą znakomicie, zapal ogólny wojska udzielił się też temu zgorzkniałemu wodzowi. Pod jego ręką pułki polskie wprost wrosły w ziemię. Broniono każdego rowu, każdego krzaka, drzewa, czy kupy ziemi. Na nic się zdały wysiłki Rosjan, patrzących z podziwem na początkowo lekceważonych Polaków. Tu piechota polska chwałę niezmierną pozyskała. Tu pułk 8-my i 4-ty piechoty linjowej, tworzące ową „brygadę nad brygady“ z mazurkiem Dąbrowskiego idące w śmiertelny bój, stwierdzały, że

„Polak w boju kiedy uparty
Staje odrazu starym żołnierzem“.

Na te zmagania patrzyły się obie armje, ich wodzowie, ludność Warszawy, co na Pragę wyległa, członkowie Rządu Narodowego. Armja z narodem cudnie zespolona, tworzyła siłę, o którą rozbiły się oddziały Dybicza Zabalkańskiego. Przewaga nieprzyjaciela robiła jednak swoje. Olszyna przechodziła z rąk do rąk.

Ostateczny atak, mający przynieść Polakom zwycięstwo, nakazany przez Chłopickiego, nie powiódł się, skutkiem niesubordynacji niektórych ambitnych i zwalczających się wzajem dowódców i ciężkiej rany, jaką odniósł sam Chłopicki. Bitwa kończyła się obustronnem dużym wyczerpaniem, częściowem opanowaniem placu boju przez wroga. Polacy, w znakomitym porządku usuwając się na Pragę, zaimponowali przeciwnikowi do tego stopnia, że nie myślał on nawet o atakowaniu Pragi i mostu. W Olszynie grochowskiej i w bagnach nad Wisłą ugrzązł wielki rozmach ofensywny Rosjan, a owe „Polskie Termopile“ spełniły swoje zadanie.

Chłopicki, okupując swą dzielnością i znakomitem kierownictwem, choć częściowo przynajmniej, winę bierności dotychczasowej — zszedł z widowni wojny. Ów dyktator „bojący się“ Rosji, nie ufający polskiemu żołnierzowi, oddawał mu potem cześć najwyższą w ciągu całego swego dalszego prywatnego życia. „Nie miałem dcsyć zaufania w wojsko nasze“ — mówił do przyjaciół — „a ono w olszynie szło na bagnety tak, że można było wszystko pobić. A widzieliście regiment 20-ty? Chłopi z kosami stali w ogniu, jak stara gwardja francuska. Nie miałem wyobrażenia, żeby żołnierze, którzy jeszcze nie byli na wojnie, tak szli naprzód, jak nasi“. Czyż mogła być w oczach tego znakomitego napoleończyka wyższa pochwała od porównania ze starą gwardją, której cała wroga koalicja przyznawała pierwszeństwo? Ten sam surowy, a prawy żołnierz później w starości rzekł do hr. Potockiego w Krakowie, patrząc smętnie na kopiec Kościuszki: „Może i ja mógłbym mieć taki sam pomnik, gdybym więcej miał wiary w Polskę i w jej żołnierza. Bez wiary działałem początkowo; uwierzyłem dopiero w olszynie grochowskiej, widząc niezachwiane szeregi czwartaków, tracących po 45% swego składu, a idących w bój o Polskę z dzieciinną piosenką na ustach: „Uciekła mi przepióreczka w proso...“

W dziesięć minut potem padłem raniony...“

I wojskowe i polityczne i duchowe znaczenie ma bój grochowski. Stał się on krwawym i stalowym chrztem armji listopadowego powstania. Wieść o nim szła przez całą Polskę i Europę, budziła ospałych, rodziła „Warszawiankę“ z jej hasłem:

„Leć nasz orle w górnym pędzie
Polsce, światu, sławie służ...“

IX.

Po Grochowie nastąpiła siłą rzeczy dłuższa przerwa w działaniach. Dybicz, zawiedziony w swych planach, znacznie osłabiony liczebnie, rozkwaterował wojsko, by doczekać wiosny. Na południu Królestwa, w odosobnieniu od głównej armji polskiej, działał zwycięzca pod Stoczką, Dwernicki, czyniąc poważną dywersję wrogowi po obu brzegach Wisły. Wyprawa jego na Wołyń źle pomyślana, nosiła cechy połowiczności. Miał generał podać rękę powstaniu za Bugiem. Instrukcje mu dano niejasne. Za mało miał wojska na działanie samodzielne, za dużo na partyzantkę. Ściągnął na siebie dużą przewagę wroga i naciskany

przezeń stoczył świetną bitwę pod Boremlem i przeszedł granicę austriacką, zatracając sporą ilość tęgiego żołnierza. Po Chłopickim tymczasem na wodza naczelnego wybrano gen. Jana Skrzyneckiego, który pod Grochowem wykazał duże zasoby zimnej krwi, przytomności umysłu i osobistego męstwa. Grochów dał mu do ręki buławę wodza. Przyjął ją chciwie — choć do jej piastowania nie był zdolny. Wybór ten był „nieszczęsnym i zgubnym dla naszej sprawy, a dla samego Skrzyneckiego fatalnym“. Skrzynecki, dobry zwykle wykonawca rozkazów, dzielny może dowódca brygady czy dywizji, jako wódz samodzielny, zawiódł na całej linii. Stan służby nowego wodza stwierdzał, iż od lat 24 był w szeregach, odznaczył się w słynnej bitwie pod Mołajskiem, Borodinem 1812 r.; on to dowodził pod Arcis-sur-Aube w r. 1814 sławnym czworobokiem piechoty polskiej, w którym Napoleon schronił się przed śmiercią lub niewolą. Za Konstantego zdradzał dużą uległość nowym rządóm. W spiskach udziału nie brał, nawet je potępiał; był legalnym poddanym „króla“. 29 listopada chciał nawet iść z pomocą Wielkiemu Księciu. Gdyby w tym lojalnym zapale znalazł się na ulicach wśród podchorążych, padłby może pod ich bagnietami, jak inni... Był jednak zbyt ostrożnym i przezornym... W rewolucji szybko się przystosował do nastroju. Wypłynął więc zrećźnie na widownię. Politykował, paktował, klócił się z sejmem i rządem, wyniosłością odstręczał wybitnych generałów, bawił się w „Fabiusza Kunktatora“, przyjmował deputacje, gdy trzeba było czynnie snuć plany. Pozował do portretu, przymierzał mundur galowy, czytał dniami całemi nadesłane gazety francuskie, szukając tam wzmianek o... sobie, dysputował z... kucharzem na temat obiadów — gdy trzeba było błyskawicznie działać. Udawał rzymskiego zwłecacza, a winien był być Hannibalem czy Czarnieckim. Genjalności nie można było odeń wymagać: chodziło tylko o rzetelny stosunek do ruchu. „Przyskrzynił“ też Skrzynecki sprawę powstania gruntownie i beznadziejnie...

Czynnikiem, co budził wodza z drzemki, odrętwienia, niezdecydowania, był gen. Prądzyński. Ten „genjalny projektowicz“, przedstawiający raz po raz znakomite plany, marnieje przy Skrzyneckim. Tu i ówdzie ledwo uda mu się „skłonić“ wodza do działania, „wybłagać lub wyprosić“ jakąś energiczną decyzję. Gdy Skrzynecki lojalnie współdziałał z planami swego kwatermistrza, zwycięstwo idzie Polakom w ręce: tak jest w ofensywie wiosennej na szocie siedleckiej. Gdy wódz w toku akcji cofa się, zastraszony „zbytnią“ energią i wysiłkiem, ma miejsce przegrana; tak jest z wyprawą na gwardje i z bitwą pod Ostrołęką. Rzadko kiedy współpraca wodza i szefa sztabu była tak wielkim nieporozumieniem, jak wtenczas. Było to katastrofą — bo płacić za to miał całokształt sprawy polskiej. A naród wierzył, żołnierz milczał, lojalnie słuchał, ofiarnie ginął.

Plan wiosennej ofensywy polskiej polegał na zaskoczeniu Rosjan, zniesieniu ich rozdrobnionych oddziałów, rozmieszczonych wzdłuż szosy siedleckiej zajęciu Siedlec i wejściu na tyły głównych sił Dybicza, zgrupowanych wtenczas nad Wisłą na wysokości Kozienc. Powodzenie było niewątpliwe pod warunkiem nader szybkiego działania. — Ruchy początkowe, w tym duchu poczęte, powodują rozbitcie wroga pod Wawrem i Wielkim Dembem. Bitwy te wygrane w walce

czołowej przy znakomitej postawie piechoty i jazdy, rzucają popłoch na Rosjan. Szybka dalsza akcja mogła być dla nich katastrofą.

W walkach tych jednak, wygranych przez plan Prądyńskiego i dzielność żołnierza, przy minimalnem współdziałaniu Wodza Naczelnego, wyczerpuje się szczupły zasób energii Skrzyneckiego, który zręcznie umie w stolicy przedstawić oba zwycięstwa jako swą wyłączną zasługę. Rozmach Polski utknął, drogi czas uchodził, Rosjanie odzyskali równowagę i zaczęli się wycofywać z niewygodnej sytuacji. Darmo do działania wzywał Prądyński; Wódz Naczelnny „trwał w bezczynności“ pozwolił tylko Prądyńskiemu z nieliczną grupą wojsk spróbować szczęścia w obejściu Rosjan koło Siedlec. Łaskawie obiecał sam współdziałać po szosie w kierunku na Siedlce. Zachęcony tem Prądyński podejmuje swą jedyną w tej wojnie akcję samodzielną; ryzykownie zapuszcza się na tyły Rosjan; atakuje ich pod Iganiami, mając dwa razy mniejsze siły. Iganie to małe arcydzieło, bitwa pełna inicjatywy ze strony Polski, znakomitego kierowania trzema rodzajami broni, zgrania mądrego wodza i bohaterskiego żołnierza. Wdaje się w bitwę Prądyński, pewien obiecanego współdziałania wodza naczelnego. Bitwa trwa, Polacy łamią wroga bagnetem i ogniem artylerji Bema, zbierającego tu pierwsze swoje laury, biorą też masę jeńców; Prądyński więc sam ze swoją grupą odnosi zwycięstwo, a Skrzynecki nie przybył z pomocą, bo zwlekał i wypoczywał leniwie, a potem... zazdrościł Prądyńskiemu i starał się umniejszyć jego sukces. Siedlce nie zostały wzięte, Dybicz nie był należycie niepokojony na tyłach swoich, Skrzynecki zaś się cofnął i zapadł znów w bierność. Na tem ruch ofensywny Polski się skończył. Minęła jeszcze jedna sposobność pobicia wroga. Wyglądało to wprost tak, że nie chciał tego Skrzynecki... Rosjanie zaś w tej akcji zdradzili zupełny brak przewidywania ruchliwości inicjatywy; to też ktoś dowcipny w stolicy Polski wyraził się: „Moskale wykazali całą dobrą wolę, by być pobitemi“. A znakomity znawca tej wojny, poważny i bezstronny uczony rosyjski, generał Puzyrewskij, wydał o tej akcji naczelnego wodza polskiego druzgocący sąd: „Zachowanie się Skrzyneckiego w tym dniu urąga wszelkiej krytyce!“ Po tej ofensywie każdy baczny obserwator mógł się utwierdzić w przekonaniu o nieudolności Skrzyneckiego i o tem, że wojna, prowadzona pod jego kierunkiem, prędzej czy później zakończy się klęską. Brak energii w rządzie narodowym, sprytnie intrygi niedołężnego wodza, chcącego w pysze swej najdłużej buławę piastować, tudzież bierność sejmu nie sprowadziły zmian pożądaných i koniecznych.

Niewdzięcznością też nakarmiono igańskiego zwycięzcę, przemilczając o jego zasługach, choć kraj cały miał jego nazwisko na ustach; choć żołnierze go czcili jako wcielenie cnoty rycerskiej; choć go na pobojuwisku igańskim zarzucono szarfami zabitych oficerów rosyjskich, pod którymi się wprost ugiął wraz z koniem; choć sam prezes Rządu Narodowego, książę Adam Czartoryski, żądał dla niego awansu...

Prywata, zazdrość, pycha zrażały i usuwały w cień cichych obrońców i rycerzy sprawy narodowej, zresztą nie po raz pierwszy i nie po raz ostatni w dziejach Polski...

X.

„Wielkanocna“, jak ją nazywano, ofensywa polska po szosie siedleckiej, aczkolwiek uwieczniona tylko połowicznymi i dorywczymi korzyściami, wykazała dobitnie, czego dokonać może energiczne i dzielne kierownictwo, spoczywające w tym wypadku niemal wyłącznie w rękach Prądzyńskiego, gdy ma do dyspozycji karne i patriotyczne wojsko. To też sukcesy kwietniowe podniosły jeszcze entuzjazm w narodzie, zaniepokoiły zupełnie poważnie Rosjan, ściągnęły na Dybicza niełaskę cara. „Europa“ zaś zdumiała i bacznie zaczęła się wsłuchiwać w huk dział nad Wisłą. Zagadano żywiej o Polskę w gabinetach mocarstw zachodnich, w parlamentach, w prasie... Zaczęto się znów interesować Polakami, wykreślonymi wszak lat temu 15 znów z liczby wolnych narodów... Zjawisko to, tak charakterystyczne dla polityki i nastrojów „Europy“, miało się powtarzać zawsze, ilekroć Polacy przejawili siłę i podjęli „bunt“ przeciw rozbiorom i potrójnej okupacji „trzech czarnych orłów“...

Skrzynecki zaś, jakby zaskoczony powodzeniem, utonął znowu w uporczywej bezczynności. Inicjatywa więc mogła w działaniach przejść do Rosjan. Przeszkadza temu jednak energia Prądzyńskiego „nie dającego spokoju“ naczelnemu wodzowi. Podsuwa więc „kunktatorowi“ niestrudzony kwatermistrz szereg planów, a wśród nich znakomicie pomyślany projekt wyprawy na korpus gwardji rosyjskiej, rozłożony szeroko w ziemi łomżyńskiej. Wyborowe te oddziały świeżo nadeszły z głębi Rosji pod wodzą mało doświadczonego wielkiego księcia Michała. Ten „kwiat“ wojska rosyjskiego przeznaczony był do triumfalnego wejścia do zdobytej Warszawy... Stała więc owa gwardja, oszczędzana troskliwie, na boku, w bardzo luźnej łączności z główną armją Dybicza, tkwiącą ciągle w okolicach Siedlec.

Projektował Prądzyński wycofać główne siły własne z szosy siedleckiej, zostawiając dla niepoznaki nieznaczne tylko oddziały, i szybkimi marszami przerzucić je ku północy na gwardję.

Niespodziewany szybki manewr okrążający, moment zaskoczenia, otoczenie z trzech stron wielkiego księcia Michała — dawały zupełną prawie pewność zniszczenia owego odosobnionego korpusu. Szczera żołnierska dusza Prądzyńskiego śmiała się wprost do tej wyprawy i „nie spał i nie jadł z radości, że się to przecież musi teraz udać“. Nawet, o dziwo, powiodło mu się „wydrzeć“ Skrzyneckiemu zgodę na ten ruch. Decyzja zapada, rozkazy wydane, karne szeregi w tajemnicy opuszczają stanowiska, omijają Warszawę i posuwają się od Serocka trzema kolumnami w górę Narwi i Bugu, biorąc udatnie, zgodnie z planem w pewnego rodzaju widły spokojnie obozującą gwardję. Dybicz nawet, zręcznie zmylony, nic jeszcze nie wie, ani nie przeczuwa. Jest to w tej wojnie jeden z nielicznych z polskiej strony wypadków posunięć wojskowych, dokonanych w całkowitej i ścisłej tajemnicy... Szanse więc powodzenia tem bardziej się zwiększają jeszcze przez to, że siły polskie, użyte w tej akcji, wyjątkowo znacznie przewyższają rosyjskie.

Ale nad Polską zawisł w tej ważkiej epoce zły los, uosobiony w postaci Skrzyneckiego, który, od czasu, jak został wodzem, wszędzie coś odkładał, zawsze gdzieś się spóźniał... Tak się też stało w owej ważnej chwili, gdy od szybkiego działania zależało dużej miary zwycięstwo, mogące mieć doniosłe, omal nie decydujące następstwa.

Coprawda, historia wojen nie zna wypadku, aby dzielny i śmiały szef sztabu prowadził słabego i lęklivego wodza do zwycięstwa. Obcą Skrzyneckiemu była myśl Napoleona, mówiącego: „Niepewność, działanie poomacku, półśrodki psują wszystko na wojnie!“.

Nie rozumiał wódz polski słów swego wielkiego poprzednika, Józefa ks. Poniatowskiego, słusznie mniemającego, że „punktualność jest to dusza wojska; stąd pochodzi najczęściej strata lub wygrana!“...

Akcja więc polska rozwijała się początkowo pomyślnie przy opieszalej bierności przeciwnika. Gwardja rosyjska znalazła się nagle nieopatrznie w klamrze czy w podkowie polskiej. Połączenie zręcznym i zupełnie możliwym manewrem końców tej podkowy musiałoby doprowadzić do całkowitego zlikwidowania tych sił rosyjskich.

Działa w tym duchu Prądyński i podwładni dowódcy; rozumieli to żołnierze w szeregach... Już nie na dnie, a na godziny obliczona była akcja!... „O jedną godzinę wcześniej, a bylibyśmy wzięli cały korpus Sackena“ (jednego z dowódców gwardji) — pisze żałośnie, słynny później na emigracji, generał Władysław Zamoyski, do wuja swego Adama ks. Czartoryskiego. I tej właśnie jednej czy drugiej godziny miało Polakom zabraknąć, bo Skrzynecki się waha, „odkłada do jutra“, „rozprawia“ o sytuacji spokojnie przy smacznym obiedzie, zamiast „rozprawić się“ z wrogiem. Drogi czas uchodził i „panicze petersburscy“, jak ich z przekąsem w polskich szeregach nazywano, spostrzegli wreszcie, że są otoczeni. To też zaczęli się wycofywać forsownymi i trudnymi marszami ku wschodowi. Ale można ich jeszcze dopaść! Czuwa przecież Prądyński! Kwatera główna polska stoi we wsi Troszynie, gnieździe zacnego, Ojczyźnie oddanego rodu Troszyńskich. Tam Prądyński wynudził i wydobył korkociągiem z naczelnego wodza „zgodę“ na bitwę na dzień następny. Atak polski miał nastąpić w chwili, gdy Rosjanie już będą w pełnym odwrotowym ruchu. Wieczorem, jak na ironję dziejową, „podzielono się pracą“: Prądyński z dzielnym majorem Kruszewskim poszli przygotować rozkazy, a Skrzynecki po kolacji poszedł... spokojnie spać. I gdy rozkazy są gotowe, gdy oficerowie ordynansowi czekają, by je rozwieźć, Prądyński budzić musi wodza, by podpisał rozkazy. Zgodził się już „kunktator“ na wszystko, już „niespokojny duch“ wychodzi radosny, ale niestety, padają słowa złowieszcze: „wróć się... wszakże to niema w tem nic pilnego! nie posyłaj tego rozkazu! jutro się przecież namyślimy...“ Nastąpiła gwałtowna scena: przypieczętowała ona los wyprawy na gwardję.

A wiemy dobrze z cennych kart historii własnej i obcej, jak poczynali sobie w takich chwilach wielcy i dzielni wodzowie:

Hannibal zapadł na zdrowiu i stracił oko, nocując tygodniami w błocie pospołu z żołnierzami.

Aleksander Macedoński szedł w boju na przodzie dla przykładu i rany odnosił.

Cezar „był w boju pierwszym, w odwrocie ostatnim“, ostatni też szedł spać, nieraz na gołej ziemi; pierwszy wstawał, wiedział wszystko, wyzyskał wszystko, więc i pobijał wszystkich.

Napoleon 5 dni nie spał, ale rozbił Austriaków w bojach o Mantuę; 8 dni mókł i marzł, ale zagarniał całe armje „cesarskich dzieci“ pod Ulmem.

Bohaterski ks. Jeremi Wiśniowiecki umarł w sile wieku z trudów wojennych.

Słynny Stefan Czarniecki „dwa miesiące z konia nie zsiadał“, gromiąc Szwedów.

Henrykowi Dąbrowskiemu „szabla przyrosła do dłoni“ w legionach pod Tczewem i Gdańskiem.

Od tych wojowników nikt nie „wynudzał“ czy „wypraszał“ decyzji, bo je mieli w głowie i sercu. Spoczywają też oni w Panteonie sławy nieśmiertelnej. Pod kopułą Pałacu Inwalidów w Paryżu do grobu Napoleona pielgrzymuje „cały świat“. Polak zaś z uczuciem żalu i goryczy mija piękny, a tak niezasłużony pomnik Skrzyneckiego w kościele ks. dominikanów w Krakowie! W modrzewiowym dworku troszyńskim zdeklarowała się niesława Skrzyneckiego, zdecydowany został los kampanji, szybko idącej ku ostrołęckiemu przesileniu.

Gwardja wymknęła się, uszła i ocalała; weszła też potem we wrześnie do Warszawy. Gonił ją Skrzynecki, ale wówczas, gdy już dogonić nie mógł. Męczył tylko śmiertelnie w upalne dni długimi, bezowocnymi marszami rozczarowane i zniechęcone szeregi. Doszli w tej „pogoni“ Polacy aż do Tykocina nad Narwią, stanowiącą w tem miejscu granicę Królestwa. Tu był kres szalonego marszu. Urządzono nabożeństwo polowe na rynku tykocińskim. Zbieg okoliczności sprawił, iż stał tam i stoi na środku pomnik Stefana Czarnieckiego. Ołtarz polowy ustawiono więc pod pomnikiem tego, którego życie dla Polski było wszak „trudem trudów“, który „nie z soli ani roli, ale z tego co go boli wyrósł“... Słuchał zaś mszy polowej owej naczelny wódz polski, będący ku klęsce Polski, smutnem skromnego hetmana przeciwieństwem.

W tym właśnie momencie odebrał Skrzynecki wieść, że Dybicz, spostrzegłszy się wreszcie, że wojsko polskie „wykradło się“ mu zręcznie z szosy siedleckiej, zaniepokojony o gwardję, szedł im z całą swą siłą na pomoc, przecinając już linje komunikacyjne Polaków... Skrzynecki zarządził szybki odwrót. Nic mu już wtenczas nie pozostawało innego. Szedł bezwiednie z zawiedzioną, zmęczoną, ale karną jeszcze armją ku Ostrołęce, która miała być grobem wszelkich ofensywnych zamiarów polskich, która miała zakończyć ów tragiczny „menuet“, tańczony z Dybiczem przez Skrzyneckiego.

Trzydniowy odwrót z Tykocina wyczerpał wojsko bardzo. „Dnia 23 i 24 maja maszerowaliśmy ciągle z pośpiechem wśród upału, dróg piaszczystych, przy braku żywności i bez paszy dla koni. Armja upadała pod nadmiarem trudów i niedostatku, ale moralnie dobre usposobienie utrzymywało się jeszcze“ — pisze w swych pamiętnikach generał Kruszewski.

Jednocześnie Dybicz szybko szedł od południa od Bugu i, połączywszy się z gwardjami, naciskał na Polaków. To skłoniło Skrzyneckiego do skierowania armji ku Ostrołęce, by tam przejść Narew i, tem samem, rzeką odgradzić się od wroga. Mniemał naiwnie wódz polski, iż będzie bezpieczny. Większość wojska przeszła rzekę i w zupełnem poczuciu bezpieczeństwa rozłożyła się obozem, zażywając dobrze zasłużonego odpoczynku.

Tymczasem silny oddział polski, pozostawiony najzupełniej niepotrzebnie z drugiej strony rzeki pod miastem, został nagle potężnie zaatakowany przez przygniatającą przewagę Rosjan: to Dybicz dogonił Polaków i odrazu uderzył całą swą armją. Cofnęli się wśród ciężkiej walki Polacy do swoich przez mosty, których niestety nie zdołano zniszczyć... W tych wstępnych walkach zasłynął znów ów sławny „pułk czwarty“, odcięty niemal zupełnie, torujący sobie bagnetem drogę; niektórzy z „czwartaków“ skakali do Narwi, przenosząc śmierć w jej falach nad niewolę...

O tych właśnie bohaterach pieśń „Tysiąc walecznych“ śpiewa:

„Pod Ostrołęką wróg się dumny zżyma,
Otacza wolnych dzikiej hordy wał,
Śmierć lub niewola! — tu wyboru niema:
Z bagnetem naprzód! nie padł ani strzał!...“

Porwały się szeregi polskie do broni. Zaczął się bój o owe mosty, o nieprzepuszczenie przez nie Moskali. Rozgorzała bitwa na całej linii w najfatalniejszych warunkach. Rosjanie wyczuli, że zaskoczyli Polaków, atakowali więc z całą energją. Z polskiej strony jasnego planu obrony nie było. Pewne celowe dyspozycje Prądzyńskiego bezcelowo zmieniał Skrzynecki. On, unikający decydującej bitwy tak starannie, teraz został w nią uwikłany mimowoli. To też odrazu stracił głowę. Mógł przepuścić część Moskali przez most i później, mając wojska rozstawione w półkole, atakiem koncentrycznym ich zgnieść i wrzucić do rzeki, niszcząc artylerją mosty, jak to zrobił genialnie Napoleon w 1807 r. pod Frydlandem...

Zamiast tego rzucał Skrzynecki oddzielne dywizje i pułki piechoty i jazdy ku mostom, mocno przez Rosjan trzymanym. Z drugiego wyższego brzegu rzeki doskonale kierowana artylerja rosyjska zmiatała wprost polskie szeregi... Szał jakiś bojowy odwagi, rezygnacji, czy rozpaczy ogarnął wszystkich Polaków bez wyjątku. Sam Skrzynecki, marnujący armję w bezowocnych atakach, „zapominający“ o poszczególnych oddziałach, wystawiał się z otoczeniem na ogień największy... Topniała w tem „przepychaniu się“ piękna, karna piechota polska, grzęznąc w mokradłach, nie mogąc wprost dorwać się do wroga, a ponosząc olbrzymie straty od jego ognia. Podobnie zniszczył Skrzynecki część swej jazdy, rzucając ją „szarżami nie na nieprzyjaciela, a na kule nieprzyjacielskie“, jak mówił ofiarny ochotnik z Poznańskiego, bohaterski Michał Mycielski, dowódca drugiego pułku „białych“ ułanów... Szaleńcza ta taktyka, ujawniająca się w bezładnych rozkazach Skrzyneckiego do dowódców dywizyj: „Rybiński naprzód, Małachowski naprzód, wszyscy naprzód!“ — doprowadziła po cało-

dziennych zmaganiach do zupełnego wyczerpania sił fizycznych i odwodów polskich. Nadzwyczajna jednak odwaga Polaków zaimponowała znów wrogowi, który nie dostrzegł, iż pod wieczór owego smutnego dnia 26 maja Polacy gonili już ostatkami sił. Bitwę zakończyła owa sławna „szarża“ baterji dział, z niesłychaną odwagą dokonana przez podpułkownika Józefa Bema. Ten, znany później i popularny w całej Europie „bohater trzech narodów — Polski, Węgier i Turcji“, widząc gotowe do ataku masy wroga, zajechał w pełnym galopie baterją na otwarte pole i „o strzał pistoletowy“ od Moskali otworzył na nich niszczący ogień kartaczowy... Zdumieni Rosjanie cofnęli się w złudzeniu, iż mają przed sobą front silny, nie zaś wojsko rozbite...

Odwrot polski, który siłą rzeczy nastąpił, rozpoczęty w nieładzie, rozproszeniu i zgnębieniu, nie zmienił się w katastrofę, bo osłabiony stratami i pogonią Dybicz nie ścigał Polaków. Straty zaś polskie doszły prawie do $\frac{1}{3}$ sił własnych, będących w ogniu i wynosiły zgórá 7 tysięcy najdzielniejszych żołnierzy, wśród nich wielu „starych“ niezastąpionych.

Echo klęskowej ostrołęckiej „burdy“, jak ją gorzko Prądzyński nazywa, obiegło kraj, gasząc entuzjazm. Ostrołęka stała się momentem zwrotnym wojny. Osłabiła wiarę w siebie i w powodzenie sprawy u Polaków. Podkopała rodzące się na Zachodzie zaufanie do Polski, zespoliła ściślej Prusy z Rosją...

Polskie zaś dowództwo odtąd jeszcze lękliej będzie działać, rzucając się rozpaczliwie na wszystkie strony, wbrew słusznej zasadzie „starego Fryca“, twierdzącego, iż „kto chce wszystkiego bronić, wszystko traci“.

A wtenczas właśnie, w okresie wyprawy na gwardje, Skrzynecki „nagle“ gwałtownie zapragnął dać pomoc powstańcom na Litwie, którzy, powodując swą akcją na tyłach armji rosyjskiej duże zamieszanie i trudności, zmagać się musieli z ogromną przewagą wroga.

Szczególniej ruch partyzancki powstańczy żywy był na Żmudzi, gdzie nieraz całe połacie kraju wolne były od najeźdźcy, gdzie od magnata do cichego a zawziętego chłopca litewskiego, nieraz nie umiejącego ani słowa po polsku, całemi wsiami i „okolicami“ chwymano za broń... Tam nieśmiertelnej pamięci Emilja Plater z bratem Cezarym, Ezechjel Staniewicz, Matuszewicz i inni znani i nieznani z szablą przodków, ze strzelbą myśliwską, z kosą albo nawet z łukiem w rękę stwierdzali, że żyje wśród nich wielka Idea Unji Lubelskiej, że

„Powstańcy nie znają wiedeńskich traktatów,
Nie wchodzą w układy z carami...“

Ale właśnie w maju wyczerpały się tam siły i środki, choć się ciągle spodziewano pomocy z Korony, śledząc każdy jej triumf; a wieść dobra wnet obiegła te ziemie gnębione. Porywająco ujmuje ten nastrój Mickiewicz w „Noclegu“:

...Zbił Skrzynecki, zbił na łeb, na szyję,
Zbił pod Wawrem Rozena, Geismara,
Nabrał jeńców i dział co niemiara,
Idzie w Litwę ...Skrzynecki niech żyje!...“

Lecz Skrzynecki się nigdy nie śpieszył: spóźnił się i w tym wypadku...

Po ostrołęckiej rozprawie odeszły wprawdzie na Litwę większe oddziały, odcięte od głównej armji w sile ponad 10 tysięcy dobrego żołnierza pod wodzą Chłapowskiego, Gielguda i Dembińskiego. Nic ci generałowie nie mogli jednak zrobić i wobec przewagi wroga i znacznego osłabienia powstańców i własnego mało energicznego i jeszcze mniej zgodnego działania.

Po nieudanej próbie zdobycia Wilna, w obawie otoczenia, Chłapowski, nieszczęsnym śladem Dwernickiego, przeszedł do Prus.

Dembiński jednak, reprezentujący cnotliwą zasadę wojskową trzymania się do ostatka, „nie dał się“, nie upadł na duchu, lecz z głębi Żmudzi, z Kurszan dokonał słynnego swego odwrotu do Warszawy. Musiał on zatoczyć łuk olbrzymi, omijając Wilno i inne większe skupienia Moskali, tocząc z nimi po mistrzowsku małą wojnę, znosząc niewiarogodne trudy pospołu z kilkotysięcznym swym dzielnym oddziałem... Pokonał Dembiński wszystkie przeszkody i wrócił do stolicy, stwierdzając raz jeszcze, co może energia, siła woli i hart żołnierski!

Takich epizodów więcej, a wojna 1831 r. innyby obrót przybrała!...

Odwrot ten rozgłosił imię Dembińskiego i utorował mu drogę do krótkotrwałego zresztą, naczelnego dowództwa po Skrzyneckim.

Zgasło więc powstanie na Litwie, jak upadło wcześniej na Wołyniu, łącznie z katastrofą korpusu Dwernickiego; na Podolu również akcja wojenna upadła, gdy patriotyczne powstańcze oddziały polskie poniosły klęskę pod Daszowem.

Z za Buga przedostał się do armji polskiej jedynie dzielny pułkownik Karol Różycki, duch prawy i rycerski, świetny partyzant i znakomity organizator głośnego „pułku jazdy wołyńskiej“.

A po Ostrołęce zaszły duże zmiany.

Armja polska zgrupowała się znów pod Warszawą. Skrzynecki udawał zucha, intrygował, trzymał kurczowo w rękę buławę naczelnego wodza, ale „na żadne awantury wywabić się już nie dał“.

U Rosjan zaś zmienił się wódz naczelny. Dybicz bowiem dość niespodzianie umarł. Śmierć prawie równocześnie jego i w. ks. Konstantego przypisywano carowi, który w ten tradycyjny zresztą, a tak skuteczny w Rosji sposób, pozbył się niewygodnych dla siebie ludzi... Po Dybiczu-Zabałkańskim objął komendę nad armją rosyjską Paskiewicz-Erywański. Był to energiczny i ryzykowny ulubieniec cara, świeży pogromca Turków i Persji. Nowy ten wódz z siłami półświata, wraz z najzdolniejszym oficerem rosyjskim w tej wojnie, szefem sztabu generałem hr. Tollem, miał szybko „zlikwidować bunt“. Rodzi się wtedy w rosyjskiej kwaterze głównej plan, który właśnie jako ryzykowny mógł się udać (i niestety udał się) tylko i wyłącznie przy zupełnej bierności polskiej... Coprawda, nato był poniekąd obliczony! W przeciwnym jednak razie groził ogromną klęską Paskiewiczowi. Polegał ów plan na tem, aby zostawiając na prawym brzegu Wisły, w rejonie Siedlec i w Lubelskiem, kilka drobniejszych oddziałów, ruszyć z główną armją z okolic Pułtuszka przez ziemię płocką ku Toruniowi. Przy granicy pruskiej z pomocą „usłużnego sąsiada“ planowali Moskale przejść Wisłę pod Osiekiem i iść lewym brzegiem Wisły na Warszawę. Inne oddziały miały

powoli dążyć w tym samym kierunku, koncentrując umyślnie na sobie uwagę dowództwa polskiego. Ruch ten po namyśle zdecydowano; i zaczął się ów „boczny marsz“ do Osieka, którego Polacy byli tylko bezczynnymi a tragicznymi widzami... Moskale bowiem bardzo trafnie wybrali dla siebie chwilę ogromnie korzystną.

Kłeska ostrołęcka odebrała zupełnie stronie polskiej energję. Choć wojsko powoli jako tako przychodziło do sprawy, Skrzynecki pełną inicjatywę pozostawił Paskiewiczowi.

Stać „kunktatora“ w tym czasie tylko na drobne „wypady“ przeciw owym mniejszym siłom rosyjskim. Skombinowane te operacje, znane pod nazwą „wypraw na Rüdigera i Gołowina“, prowadzone wyjątkowo wprost niedołącznie, w skutku swym dają tylko zmęczenie i zniechęcenie wojska, kompromitację szeregu drugorzędnych dowódców i... stałe wymykanie się słabszego, a zręcznego przeciwnika. Szereg tych niepowodzeń budzi już wyraźne szemranie w korpusie oficerskim i w szeregach, niepokój w rządzie i w sejmie, a nawet pogroźki wśród rozpolitykowanej ludności Warszawy.

W tej dusznej atmosferze plan rosyjski spokojnie rozwijał się. Zbliżało się złowrogie rozwiązanie...

XI.

Paskiewicz spokojnie szykował się do zadania powstaniu śmiertelnego ciosu. Okoliczności układały się dla niego pomyślnie, bo armja rosyjska po ostrołęckim zwycięstwie była podniesioną na duchu i zdolną do forsownych operacyj. Skrzynecki zaś siedział w Warszawie, ucztował w pałacu „pod Błachą“, nie dbając zbytnio o nastrój wojska, który wykazywał po dawnemu ofiarność dla sprawy narodowej, ale już dużą nieufność do wodza... Błędem niezwykle ciężkim sejmu i rządu było dalsze pozostawienie Skrzyneckiemu naczelnego dowództwa. Paskiewicz ruszył wreszcie pięcioma kolumnami przez ziemię płocką ku Toruniowi. Nawet ludziom bardzo mało obeznanym ze sztuką wojenną nasuwały się proste plany działania: albo zebrać wojska w Modlinie i uderzyć całą siłą w bok maszerujących po złych drogach i rozdzielonych kolumn nieprzyjacielskich, lub też czekać nad Wisłą między Toruniem a Włocławkiem i, dopadłszy przeprawiających i rozdzielonych rzeką Rosjan, zadać im cios.

Nic z tego się nie stało... Ostatnia w tej wojnie sposobność zagórowania nad wrogiem minęła. Polacy bezczynnie musieli patrzeć z Modlina na mijające ich oddziały rosyjskie. Skrzynecki bowiem biernie oczekiwał na... interwencję „Europy“, liczył na neutralność Prus... A państwo to właśnie, wyrosłe na podstępnie i krzywdzie, jawnie wtedy oświadczało: „Prusy bynajmniej w obecnej wojnie za neutralne się nie mają, owszem są aljantami Rosji; naród zaś polski uważają za poddanych, zbuntowanych przeciw prawowitej władzy!“ Zaborcy więc byli solidarni, a „duch pruski“ szczerze i cynicznie oblicze swe ukazywał! Nie przerwało to jednak wcale bezczynności polskiego wodza. Paskiewicz bez żadnych przeszkód odbył swój niebezpieczny marsz. Pod Osiekiem w okolicach

dzisiejszego Ciechocinka, pięć dni przepawali się Moskale „bez jednego wystrzału“ ze strony polskiej! Nic już wtenczas nie przeszkadzało wojsku rosyjskiemu maszerować wprost na Warszawę.

Nic też dziwnego, że w atmosferze ciągłych zawodów, opóźnień, zwlekania, namyslenia się, po szeregu niepowodzeń orężnych gorętsi patrioci w wojsku i wśród ludności poczęli siać niezadowolenie i burzyć się. Wołano, i słusznie, o czyny w stronę tych, co piastowali władzę. W wojsku szczególnie wrzało. Ostro domagano się ustąpienia Skrzyneckiego, układano nawet plany zamachu na niego. W stolicy jednocześnie nastąpiły aresztowania osób, podejrzanych o sprzyjanie Moskałom i niektórych wojskowych, zbyt już opieszale i wprost karygodnie działających w polu. Działalność klubów politycznych o zabarwieniu radykalnym, na które duży miał wpływ członek rządu Joachim Lelewel i szukający wszędzie popularności generał Krukowiecki, jawnie dążyła do zmian znacznych na naczelnych stanowiskach... Tu i owdzie dające się zauważyć oznaki bezkarności lub nawet anarchji świadczyły o podnieceniu umysłów i stwarzały nastrój niepewności. Sprawa obrony kraju nic na tem oczywiście nie zyskiwała.

Wojska rosyjskie zaś, maszerując spokojnie, zajęły bez oporu Łowicz, zatrzymując się na linii Bzury. Paskiewicz już teraz działał „na pewniaka“: liczył, że Polacy bez boju cofną się w mury Warszawy, gdzie ich łatwiej rozgromi... Poznali, niestety, Rosjanie dobrze taktykę zgubną „kunktatora“!...

Skrzynecki wreszcie pod naciskiem zgodnej opinii sejmu, ludu i wojska, wyszedł z Warszawy z armją na spotkanie wroga i utknął naprzeciw niego nad Bzurą i Rawką. Oba wojska patrzyły sobie oko w oko... Żadne nie decydowało się na przejście do natarcia. Wódz polski znów od bitwy się wykręcał. Energiczniejsi generałowie, jak Prądzyński, Małachowski, Pac i inni, parli do walki nad Bzurą, przewidując, że zamknięcie się w okopach Warszawy, należycie nie zaopatrzonej, to grób powstania: słabe zaś i niewykończone umocnienia stolicy nie dawały też nadziei dłuższej obrony. Bezczytność w tych warunkach wywołała w obozie polskim pod Bolimowem szereg rad wojennych, gdzie generałowie oskarżali się nawzajem; w szeregach zaś wrzało przeciw Skrzyneckiemu. To skłoniło wreszcie sejm i rząd do wysłania do armji deputacji. Ta wyczuła groźny nastrój i odebrała nareszcie dowództwo owemu „zwlekaczowi“, który tak zaszkodził sprawie. Ludzie czynu odetchnęli swobodnie w mniemaniu, iż rzeczy inaczej się teraz ułożą. Było to złudzenie jednak! Położenie było już tak złe, że nowy wódz naczelny, Henryk Dembiński, nie zdecydował się na bitwę i zarządził odwrót do Warszawy. To go też odrazu zrobiło niepopularnym u ogółu. Zaczęły się targi i spory o zakres władzy rządu, sejmu i naczelnego wodza. Sejm złożył z dowództwa Dembińskiego i powołał Prądzyńskiego. Zapóźno! Ten bowiem godności nie przyjął... Uważał już sprawę za straconą... „Buława leżała na bruku i nikt już nie miał dość charakteru, by sięgnąć po nią...“ pisze profesor Tokarz, największy dziś znawca tej epoki.

W tej gorącej atmosferze żywioły niekarne i gorące wywołały smutne rozruchy w Warszawie 15-go sierpnia, ujawniając swe wzburzenie napadami na więzienia i doraźnem a bezprawnem rozprawianiem się z szeregiem podejrze-

nych politycznie osób. Te przejawy anarchji, nie stłumione dość szybko, zaszkodziły bardzo sprawie polskiej w opinji zagranicy, w kraju zaś powiększyły zamęt.

Pryskała zwartość i odporność narodowa...

Wśród przeciwnieństw pojęć i programów ratowania sprawy rząd podał się do dymisji. Prezesem nowego został generał Krukowiecki, umiejętnie urabiający na swą stronę umysły, rwący się do władzy, zacięty wróg Skrzyneckiego. Ambitny ten dygnitarz więcej zdziałał też złego, niż dobrego.

Armja tymczasem cofnęła się w mury Warszawy. Brak istotnego dowództwa i anarchja stosunków doprowadziły do kilku niepowodzeń w bitwach i potyczkach odwrotowych. W ogólnem rozprężeniu, powodowany więcej obowiązkiem, niż poczuciem własnych sił i zdolności, objął dowództwo zacny generał Małachowski, stary legionista, pamiętający jeszcze San Domingo.

Paskiewicz zaś powoli zbliżał się ku Warszawie od strony Woli.

Polacy, wbrew elementarnym zasadom wojny, nakazującym skupiać siły w decydującym czasie i miejscu — rozdrobnili się. Duży oddział, pod wodzą Włocha z francuskiej służby, generała Ramorino, który się okazał później zdrajcą, odszedł na prawy brzeg Wisły, by działać przeciw kilku grupom rosyjskim, uwijającym się w siedleckim i lubelskim. Było to lekkomyślnością nie do pojęcia! To właśnie przyspieszyło szturm Warszawy, gdyż Paskiewicz chciał wykorzystać osłabienie sił obrońców. Do obrony Warszawy pozostało około 35 tysięcy wojska przeciw 80 tysiącom Rosjan przy ogromnej ich przewadze artylerji.

Ze strony polskiej niema w obronie stolicy tak niezbędnej jednolitości dowództwa, które naogół zawodzi, niema jasnej decyzji, rozprasza się w drobniactwach. Dowódcy poszczególnych odcinków, niezależni od siebie, nie działali harmonijnie. Stracili ducha, energję, głowę. Dopisał tylko, po staremu, prosty żołnierz — najofiarniejszy sługa sprawy narodowej w r. 1831!

Szef sztabu rosyjskiego Toll zręcznie manewrował swą armją, ukrywając właściwy kierunek natarcia — Wolę. Polacy, spodziewając się w mylnem wyrachowaniu ataku od strony Mokotowa, tam główne siły zebrali. Dlatego też oddziały, broniące Woli, znalazły się odosobnione wobec olbrzymiej przewagi wroga. Dowodził odcinkiem wolskim stary żołnierz napoleoński, czczony w armji jak ojciec, słynny „patron szanów“, generał Józef Sowiński. Wobec powszechnego upadku ducha zapewnił on z młodzieńczym zapalem radę wojenną, że za życia swego Woli nie odda! Tak się też stało!

Moskale, silnie uderzywszy na Wolę, zajęli odrazu szereg przednich umocnień. Z dużemi stratami posunęli się dalej ku głównej pozycji polskiej. Sowiński, z topniejącemi szybko szeregami obrońców, długo się trzymał, po bohatersku odpierając ataki i budząc podziw u wroga, a cześć najwyższą u swoich. Zginął wreszcie z karabinem w ręku „przy ostatniej dymiącej armacie“ — stając się po wieczne czasy przykładem czynu rycerskiego i cnoty wojskowej. Wola wpadła w ręce Rosjan. A duże siły polskie nie współdziałały z Sowińskim, stojąc zdala „z bronią u nogi“. Spóźnione przeciwnatarcie nie odniosło skutku, bo wróg zdążył umocnić się w zdobytych szanach. Nie umiano śnać zrobić z Warszawy

owej słynnej hiszpańskiej Saragossy, jak sobie często wówczas obiecywano! Pod wieczór Moskale opanowali ważne punkty oporu i wdarli się do linii obronnej.

6 września, dzień pierwszy szturm, zakończył się ogólnym, w kierujących coprawda sferach przekonaniem, iż Warszawy utrzymać się nie da. To też nazajutrz, wśród huków dział i ataku wrogich sił na całej linii bojowej, zagajono układy.

Walka w tym tragicznym dniu obfitowała w momenty, świadczące jaskrawo, że żołnierz polski bił się w najgorszych nawet warunkach, znakomicie. Poczucie, że bronią stolicy Ojczyzny, zmieniało tych wyczerpanych ludzi w rycerzy-bohaterów. Wymarnowały się wówczas świetne stare pułki piechoty. Wyginał prawie doszczętnie „pułk czwarty”: zaparł się on na wolskim cmentarzu ewangelickim tak mocno i raził ogniem karabinowym wroga tak skutecznie, że Moskale musieli ich karabinom przeciwstawić ...armaty! Sprawa obrony Warszawy była stracona...

Na mocy umowy z Moskalami Polacy mieli opróżnić Warszawę i Pragę.

Lecz, jak pisze Karol Rzepecki, jeden z „czwartaków“ w pracy, poświęconej swemu pułkowi... „bój trwał do nocy, żołnierze nie chcieli ustąpić z wałów i stanowisk. Przy nas pełno było mieszkańców Warszawy. Księża dominikanie i bernardyni z pałaszami i pistoletami, kobiety uzbrojone w strzelby, kosy i siekiery — wszyscy cisnęli się na wały i koniecznie chcieli walczyć, łączyć się do wspólnej obrony...“ Wojska z rozpaczą w sercu, niepobite przez wroga, przeklinając głośno Krukowieckiego, który dążył do rychłego zakończenia wojny nawet przez oddanie stolicy, szły ku Modlinowi.

Prawy, choć mało energiczny Małachowski, podpisawszy smutną umowę, złożył dowództwo.

Ostatnim już po nim wodzem został generał Maciej Rybiński, który „zatopił“ sprawę powstania ostatecznie.

Bez wiary w celowość dalszej walki maszerowano ku północy.

„...zgasnął ogień, Już Moskal rogatki wywalał...“

wchodził znów w triumfie do polskiej stolicy i miał w niej panoszyć się przez długich lat 84!...

Planowano jeszcze rozpaczliwe próby oporu w różnych częściach kraju. Generalowie Bem, Umiński, Dembiński chcieli walczyć do ostatka. Jednak już „ducha nie stało, bo się załamał“. Nastąpiło tragiczne rozejście się wojsk. Zdrajca Ramorino cały ten przełomowy czas trzymał zdala od Warszawy cenny 20-tysięczny korpus, z którym przeszedł potem granicę austriacką. Rybiński z główną armją szedł bez jasnego celu na Modlin, Płock, Włocławek... Rosjanie dążyli za nim, powoli go naciskając. Nie widząc nigdzie możliwości oporu, znikąd pomocy i nadziei, a nie chcąc, jako niepokonany, składać broni przed Moskalami, przeszedł ten nieszczęsny wódz z armją, członkami rządu i posłami granicę pruską pod Brodnicą.

Powstanie upadło. Paskiewicz za owładnięcie Królestwem, na które miała spaść straszna zemsta Mikołaja, otrzymał odeń tytuł księcia warszawskiego. Został jeszcze Modlin i Zamość. Modlin kapitulował zaraz na wiadomość o katastrofie brodnickiej. Ale zacny obrońca Zamościa, generał Krysiński, długo nie

chciał wierzyć z dzielną załogą, że już wszystko skończone. Aż Moskale, szanując tę czcigodną wiarę w sprawę polską, pozwolili udać się oficerom z twierdzy do Warszawy dla stwierdzenia położenia. Prawda była straszna: wojska narodowego już nie było... „Spokój panował w Warszawie...” Zamość więc, ostatnia przystań orężnej siły polskiej, otworzył bramy zwycięskiemu najeźdźcy 24 października 1831 r.

Wojna się skończyła, bo wojsko polskie przestało istnieć...

Cisza cmentarna zaległa równiny polskie. Rozległ się w Europie złowieszczy głos: „L'ordre regne à Varsovie”. Rzeczywiście nastął spokój, bo nie stało już obrońców haseł drogich Polakom. Naród przegrał, Litwy nie przyłączył, konstytucji nie obronił! „Żandarm Europy” zakasał rękawy, by uporządkować Polskę.

Pozostały pustki w wielu domach, pożary i zgliszcza, zniszczenie...

Wszystko, co było najdzielniejszego w narodzie i nie chciało poddać się pod jarzmo moskiewskie — wyszło z wojskiem na emigrację, na biedę, głód, niedolę i poniewierkę. Unosili jednak owi nieugięci Polacy, prócz „garści czarnej ziemi ojczyściej” w węzłkach, niepodległego ducha, który miał być ich gwiazdą przewodnią wraz z wiarą w lepsze jutro.

Protest przeciw przemocy, niesiony na obczyznę przez niedobitków 1831 roku, miał przeniknąć głęboko naród cały i iść z pokolenia na pokolenie.

Idea walki zbrojnej z rozbiorcami miała być w Polakach raz silniejsza, raz słabsza — ale zawsze żywa!

Instykt narodowy wyczuwał dobrze, że Polski nie można „wyszachrować, wygadać czy wypolitykować” — Polskę trzeba wywalczyć! Wierzono święcie w wieszczę słowa Mickiewicza, proroczo głoszącego: „Naród Polski nie umarł... ciało jego leży w grobie... A trzeciego dnia wróci dusza do ciała i naród zmartwychwstanie... I przeszło już dni dwa; jeden dzień zaszedł z pierwszym zdobyciem Warszawy przez wroga (w r. 1794), a drugi dzień zaszedł z drugim zdobyciem Warszawy (w r. 1831); a trzeci dzień wejdzie, ale nie zajdzie...”

Wyczekiwał więc stęskniony naród polski owego „trzeciego dnia”, starając się kształtować ducha zbiorowego w myśl wskazań owego największego Polaka wszystkich czasów:

„O ile powiększycie i polepszycie duszę waszą, o tyle polepszycie prawa wasze i powiększycie granice!”

I dziś właśnie w stuletnią rocznicę listopadową, nasze szczęsne pokolenie, oglądające własnymi oczami Polskę Wolną, Zjednoczoną i Niepodległą, idącą coraz bardziej ku swej mocarstwowej potędze i należnemu w świecie stanowisku, może z całym zrozumieniem wyczuć rację i znaczenie tych słów wieszczca.

Bo wszak Polska Odrodzona — to właśnie najszczytniejszy triumf romantyzmu i to gromkie zaprzeczenie hasła przystosowania się do okoliczności, to zwycięstwo sprawiedliwości — nad gwałtem i krzywdą; to klęska sił ciemnych, na przemocy opartych; to bankructwo poglądów opartych na bezwartości wyłącznej materializmu i pozytywizmu; to stwierdzenie ponad wszelką wątpliwość, że „zapał tworzy cudy”.

Z tego wielkiego romantycznego nurtu, który tak gruntownie przeobrażał duchowo i kulturalnie Europę, wypowiadając śmiertelną walkę staremu porządkowi, byli rodem owi Podchorążowie Wysockiego.

Ich inicjatywa porwała naród. Oni są „winni“, że ruch się wtenczas uzewnętrznił.

I dlatego stoją w glorii sławy, jako ci co wzięli za swój czyn odpowiedzialność!

I dlatego pamięć ich w narodzie jest niewygasła, ukochana, szczytna!

I dlatego, choć, jak to powiedziano, „powstanie skończyło samobójstwem“, a przez lat sto troskliwie rozpatrywano winy tych, co do klęski doprowadzili, podchorążowie są tym procesem nietknięci, jako wyobraziciele czujnego ducha i cnoty narodowej, a w Polsce dzisiejszej niema człowieka, związanego tradycją z historją narodu, któryby wymawiając słowo „podchorąży“, nie miał na myśli tych młodzieniaszków z przed wieku, oczekując od dzisiejszych podchorążych tego samego wcielenia cnót rycerskich, narodowych; duchowych, tego samego umiłowania idealów wolności i sprawiedliwości.

Nad podchorążym Polski Odrodzonej unosi się wielka tradycja!

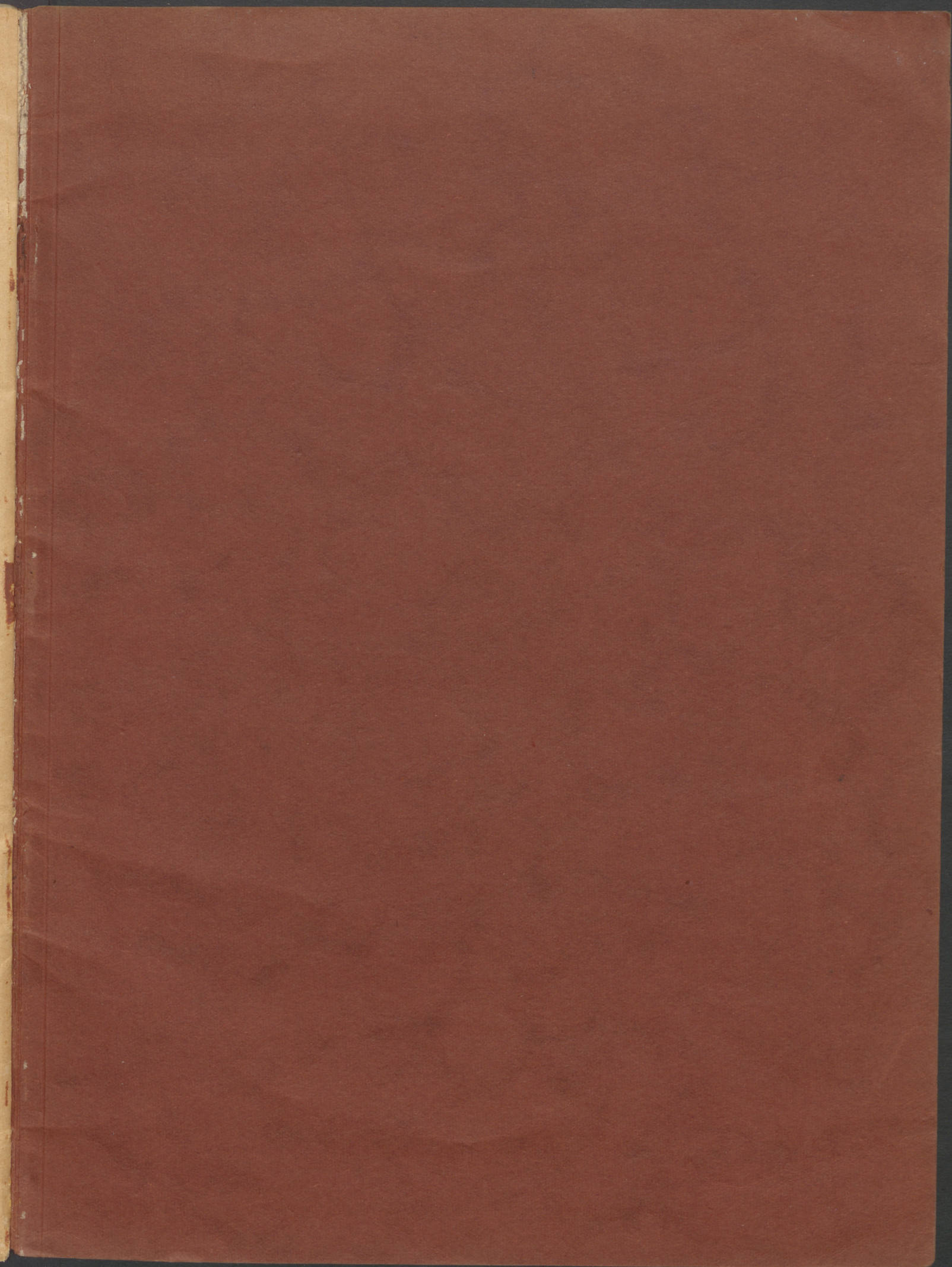
Tradycja najszczytniejsza!

A to obowiązuje...



Gmach szkolny (zdjęcie z czasów wojny).





Biblioteka Uniwersytecka
w Toruniu

200 572

Biblioteka Główna UMK



300047605280